Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



„Zwęszyły wroga"... Leśnictwo Karpiłowieckie, pow. sarneński. Fot. inż. W. Gordziałkowski.
Fotografja nagrodzona III nagrodą na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego".

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 36 (737) 20 GRUDNIA 1933 R.



W drodze na stanowiska.

Wszystkim Prenumeratorom „Łowca Polskiego", jego Czytelnikom i Sympatykom z okazji świąt BOŻEGO NARODZENIA, z któremi związane jest tradycyjne przełamanie się opłatkiem w dniu wigilijnym—myślą czyniąc zadość temu zwyczajowi wobec całej Rodziny Łowieckiej — z serca płynące życzenia dożycia lepszych dni i rozkwitu łowiectwa polskiego załącza

Redakcja.

W SPRAWIE ODZNACZEŃ.

Na co stworzone są odznaczenia łowieckie i komu powinny przypadać w udziale?

Pytanie to nasuwało się zapewne niejednemu myśliwemu, do którego wiadomości doszło, że Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich uchwalił w swoim czasie (11 grudnia 1929 r.) nadawanie takich odznaczeń i regulaminy, dotyczące poszczególnych ich rodzajów.

Przy sposobności nie od rzeczy będzie, aby sprawę tę poznali bliżej wszyscy czytelnicy, interesujący się działalnością P. Z. S. Ł.



Osacznik Paweł. Fot. St. Zdan-Michajłowicz.

Stworzono więc Medal Zasługi Łowieckiej, w którym odróżniono trzy klasy: I — medal złoty; II — srebrny i III — bronzowy. Regulamin głosi, że „medalem tym odznaczane będą osoby lub stowarzyszenia, które przez swe czyny lub ogólną działalność położyły wybitne zasługi dla łowiectwa polskiego". Wymienione są przytem różne pola działalności, na których pracę można ocenić jako wybitną i upoważniającą do jej odznaczenia. A więc: nauka, sztuka i literatura; podnoszenie kultury łowieckiej w kraju i praca w kierunku zjednoczenia polskich myśliwych; prawodawstwo łowieckie; hodowla i ochrona zwierzyny; walka z kłusownictwem i wnykarstwem, w szczególności z narażeniem własnego życia; służba łowiecka, jej długoletniość i sumienna, owocna w niej praca; wreszcie organizacja i usprawnienie gospodarki łowieckiej. Do medali dołączane są dyplomy, opiewające w swej treści za jakiego działu zasługi odznaczenie nadano.

Nadto, jako najwyższe odznaczenie łowieckie, ustanowiono t. zw. „Złom" (wyobrażenie złomu jedliny i buczyny, przewiązanych złotą wstążką).

Odznaczenie to posiada jedną tylko klasę i nadawane może być osobom i instytucjom, „które w sposób najwybitniejszy i trwały zasłużyły się dla całokształtu łowiectwa polskiego", przyczem obejmuje działalność na tych samych polach, co i Medal Zasługi Łowieckiej, prócz punktów: walki z kłusownictwem i wnykarstwem, oraz pracy w służbie łowieckiej. Odznaczeni „Złomem" otrzymują podobnie, jak przy medalach, odpowiednie dyplomy nadania.

Przedstawianie wniosków na odznaczenia przysługuje kołom myśliwskim, stowarzyszeniom łowieckim, a w szczególności Oddziałom P. Z. S. Ł., jak również poszczególnym osobom, oczywiście przy odpowiedniem umotywowaniu tych wniosków.

Taki jest regulamin i taka jest procedura. Nadawanie „Złomu" leży w kompetencjach Zarządu Pol. Zw. Stow. Łow., medali zaś — Wydziału Wykonawczego.

Nie zamierzam tu bynajmniej analizować poszczególnych punktów regulaminowych, ani ich z sobą porównywać dla wysunięcia jakichkolwiek wniosków lub uwag, atoli, powracając do postawionego na początku pytania, pragnę rozwinąć pewne myśli i poglądy własne na sprawę odznaczania zasług łowieckich w praktyce i na troskę wnioskodawców o to.

Prawo do wysokich i najwyższych odznaczeń posiadła niewątpliwie w pierwszym rzędzie elita myśliwych polskich, ideowych działaczy, jednostek w całem tego słowa znaczeniu ofiarnych, elita, o której długoletnią działalność wytrwałą, cierpliwą i zdecydowaną wobec wszelkich przeciwności mogło oprzeć się celowo nowe prawo łowieckie, garść jednostek twórczych, które w swych umysłach i sercach to prawo wyhodowały zawczasu, dając mu możność narodzin.

Natomiast odznaczenia II i III klasy odpowiadają najwięcej punktom regulaminu, wymieniającym walkę z kłusownictwem i wnykarstwem, długoletnią, sumienną i owocną służbę łowiecką, po części także hodowlę i ochronę zwierzyny. Kandydatów na wnioski do odznaczenia w tych klasach dostarczać mogą przedewszystkiem szeregi służby leśnej, straży łowieckiej, a obok nich w pewnych wypadkach policji państwowej.

Dotychczas, w ciągu czterech lat istnienia zwyczaju odznaczania zasług łowieckich przez P. Z. S. Ł., odznaczeń III klasy nadano zaledwie 40, zaś II kl. — 35.

Cyfry te wydają się zbyt niskie w stosunku do dosyć dziś już licznych szeregów ludzi, związanych bezpośrednio w terenie z wykonywaniem łowiectwa przez jego ochronę i prześladowanie kłusownictwa. Niewątpliwie jest to wynikiem niedostatecznej ilości wniosków. Można śmiało twierdzić, że podczas wymienionego okresu czasu cyfry te nie pokryły nawet ilości wypadków, które stały się przyczyną przeróżnych tragedyj wśród rodzin tych, którzy oddali swe życie, doznali kalectwa, albo wreszcie narazili się na cięższe lub lżejsze okaleczenia z rąk zbrodniarzy, napotykanych nierzadko pomiędzy zwalczanymi przedstawicielami kłusownictwa.

A wieleż to jednostek z pośród prześladowców tego najgorszego zła w łowiectwie posiadło dłuższą już i tak zaszczytną listę udanych szczęśliwie interwencyj, podczas których przechodziło jednak tuż obok największego niebezpieczeństwa!

Odnoszę wrażenie, że o tych maluczkich najlekkomyślniej niejednokrotnie zapomniano. A trzeba sobie wszakże uświadomić, jak wielką rolę propagandową może odegrać odznaczenie takich właśnie jednostek, jak olbrzymie posiada to znaczenie i jak mocno jest związane z całkowitą dalszą pomyślnością poczynań i z wykonaniem zakreślonych programów gospodarki łowieckiej.

Jeśli wśród powołanych na wnioskodawców w sprawie odznaczeń łowieckich dotychczas mało kto zdawał sobie dokładnie sprawę z ważności swej roli i odpowiedzialności wobec idei łowiectwa polskiego w związku z poruszoną tutaj kwestją, to czas już wielki, aby ją rzetelnie rozważyć i uświadomić sobie wyraźnie, zajmując się bliżej analizą ducha i czynów szarych współpracowników, od których tak wiele nieraz w łowiskach naszych zależy.

Oględność w nadawaniu odznaczeń (raczej w przedstawianiu do nich) pod postacią srebrnych i bronzowych medali — tak wskazana w zasadzie — powinna być raczej luźniejszą, niż w odniesieniu do odznaczeń wysokich, które z natury swej nie mogą być nader liczne.

Zapewne, element, rekrutujący się z warstw mniej uświadomionych wogóle, a w łowiectwie odgrywający pewną rolę wyłącznie przez związanie swe z niem poprzez pracę zarobkową i zawodową, nie nastręcza w niejednym wypadku możliwości ujawnienia się tej granicy, ponad którą znalazła się faktyczna zasługa, pobudzona przez duchowe pierwiastki twórcze, w zestawieniu z wykonaniem pracy w ramach przyjętego na siebie obowiązku.

Lecz właśnie dlatego i dla tworzenia przykładów dobrej sprawie, przykładów pracy korzystnej i pożytecznej dla ogólnej idei łowiectwa, tem uważniej i skrzętniej, tem subtelniej powinni rezultaty tej pracy i poszczególne czyny jednostek klasyfikować powołani do tej roli świadkowie i sędziowie.

Pójdę nawet tak daleko, że powiem, iż zapoznanie zasług kogoś, wśród warstwy świadomej swego powołania i zamiłowania, kto i tak pracuje ideowo i będzie to czynił nadal, jest mniej szkodliwe (nie mówię: sprawiedliwe) dla sprawy łowieckiej, niż zapomnienie lub niedocenienie tych najdrobniejszych zasług — ale wszakże już zasług — ludzi, którzy je wykazują w bardziej bezpośredniem zetknięciu się z wykonywaniem łowiectwa, z opieką nad niem i ochroną w terenie.

O tych, mojem zdaniem, należy wielkim głosem wołać, nie szczędząc im nietylko nagród pod postacią zwiększenia wynagrodzeń, tantjem i t. p., lecz także odznaczeń moralnych, wpływających powszechnie tak potężnie na psychikę przeciętnego śmiertelnika niezależnie od stopnia intelektu i wykształcenia.

Uznanie zasług — uznanie sprawiedliwe — stanowi bodziec do powstawania nowych, gdyż uznanie jest najwyższą nagrodą moralną człowieka, której odczucie dostępne jest wszystkim bez wyjątku, nawet maluczkim.

Pozwalam sobie wyrazić przekonanie, że byłoby niezmiernie pożądanem, aby refleksje, które w tej sprawie przedstawiłem, dostąpiły zaszczytu przychylnego ich ocenienia przez osoby mogące wpływać na nadawanie odznaczeń łowieckich, a więc w pierwszym rzędzie ażeby znalazły uznanie u Zarządów Oddziałów P. Z. S. Ł., wszystkich towarzystw i kół myśliwskich, oraz u pp. Delegatów powiatowych.

Niezależnie od powyższych instytucyj, formułowanie wniosków na odznaczenia łowieckie powinnoby bliżej zainteresować urzędy wojewódzkie, starościńskie, a także wszystkie dyrekcje lasów państwowych, co w pierwszej linji dotyczy działalności na polu łowiectwa funkcjonarjuszy policji państwowej i personelu lasów państwowych.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

UWAGI O JARZĄBKU.

Wobec ukazania się w „Łowcu Polskim" doskonałej pracy o jarząbku p. Ottona Pereświet-Sołtana, chcę dorzucić do tej monografji parę własnych spostrzeżeń, które prawdopodobnie zainteresują myśliwych, pragnących rozmnożyć tę zwierzynę w swoich łowiskach.

Kilka lat temu jeden z moich znajomych nabył trzydziesto-hektarowe gospodarstwo rolne w pobliżu Wilna. Folwark ten posiadał siedem hektarów starego lasu mieszanego, gęsto podszytego leszczyną i zawierającego w głębi parę ha mokradła, pokrytego brzozą, osiną i drobnemi świerkami. Zwierzostan całej tej posiadłości był bardzo ubogi, zresztą właściciel jako niemyśliwy mało się nim interesował.

Ale kiedyś, będąc u mnie, wspomniał mi przyjaciel o parze „dużych szarych ptaków", która pojawiła się ostatnio na moczarze i prosił, bym przyjechał określić, co to za ptaki. Udawszy się na miejsce, z łatwością odszukałem je na małem błotku leśnem i z radością stwierdziłem, że są to jarząbki. Odtąd ująłem w swoje ręce gospodarkę łowiecką na terenach przyjaciela i zmusiłem go nawet do wydzierżawienia sąsiednich pólek włościańskich, celem stworzenia 100 hektarowego obwodu łowieckiego. Teren owego mokradła, wraz z przylegającym lasem, wyłączyłem z pod wszelkiej gospodarki ludzkiej, a w szczególności surowo zakazałem pasania tam bydła i rąbania drzew.

Pierwsza wiosna dała mi już wynik przewyższający najśmielsze oczekiwania. Bowiem wylęgło się stadko złożone z 12 sztuk. W ten sposób doszedłem do cyfry 14 jarząbków na obszarze 7 ha łącznej powierzchni lasu i błota. Toteż w najbliższym sezonie można było odstrzelić 6 ptaków, przyczem polowaliśmy jedynie z wabiem, lub z podchodu, nie chcąc przez używanie naganki płoszyć cennej zwierzyny. Z pozostałych 8 sztuk otrzymałem 3 lęgi złożone z 5, 6 i 9 młodych. Część wylęgłych ptaków stała się łupem gołębiarzy, tak że późną jesienią znajdowało się w całym lesie 20 okazów. Urządziliśmy kilka cichych miotów, w których zabito 8 jarząbków, w tem 5 kogutów. Rok zeszły przyniósł rozkład złożony z 12 ptaków na ogólną ilość 26, zamieszkujących łowisko. W sezonie bieżącym nie polowano zupełnie, a stan jarząbków ma wynosić około 30 sztuk. Tak więc w ciągu czterech lat rezultat tej, bardzo zresztą problematycznej gospodarki łowieckiej był nadspodziewanie pomyślny. Z powyższego zatem widać, jakie można zbierać plony, mając do dyspozycji setki hektarów terenu, odpowiadającego wymaganiom tej miłej zwierzyny.

Jednym z najgłówniejszych, mojem zdaniem, środków rozmnoży jarząbka jest zapewnienie mu absolutnego spokoju w łowisku i ścisła ochrona miejsc lęgowych, konfiguracja których nie może ulegać zmianie naskutek np. trzebienia lasu czy zaorywania polanek. Gniazda jarząbków znaleść można w różnych, zgoła nieprawdopodobnych miejscach, zawsze jednak w pobliżu mało uczęszczanych dróg leśnych, polan czy wyrębów. Są to płytkie zagłębienia w ziemi pod krzakami, przy pniu drzewa, bardzo często pomiędzy obnażonemi korzeniami, lub pod wykrotem, wysłane suchą trawą, liśćmi, niekiedy piórami. W ciągu kwietnia i początku maja samica znosi jajka, których liczba i wielkość zależne są od wieku matki. Stara kura znosi nieraz do 14 sztuk, podczas gdy młódka miewa najwyżej 8. Zaobserwowałem także jedną niezmiernie charakterystyczną rzecz dla wszystkich ptaków grzebiących, a mianowicie, że w okolicach bardziej obfitujących w pewien gatunek — ilość jaj w gnieździe jest przeważnie mniejsza, niż na tych terenach, gdzie ptaki są nieliczne. Twierdzenie to uzasadnia także przytoczony opis hodowli jarząbków. W pierwszym roku, kiedy na przestrzeni 7 ha znajdowała się tylko jedna para tych ptaków — wylęgło się 12 młodych, w latach następnych, ponieważ ilość ich znacznie się zwiększyła, żadna kura nie osiągnęła już tej cyfry. Spotykałem się niejednokrotnie z takiem zjawiskiem u kuropatw i cietrzewi.

Mojem zdaniem jest to wpływ dużej ilości kogutów, które przeszkadzają samicom w spełnieniu ich obowiązków macierzyńskich i powodują gubienie jaj poza gniazdem. Stąd też powstaje zmniejszanie się liczebności piskląt tam, gdzie stadka są bardzo liczne i odwrotnie. A może sama natura, dążąca zawsze do rozmnożenia gatunku tam, gdzie on ginie, powoduje zwiększanie się liczby potomstwa na terenach słabo przez ten gatunek zasilonych.

Potwierdzenia tych moich spostrzeżeń nie znalazłem dotąd jeszcze w żadnem dziele łowieckiem. Gdyby ktoś zechciał wypowiedzieć się na ten temat na łamach „Łowca Polskiego" — byłoby to, sądzę, bardzo korzystne dla sprawy hodowli łowieckiej.

LEOPOLD PAC-POMARNACKI

CHOINKA.

W pięknym salonie, świeżo wczoraj ścięta,
stoi choinka, świerczek, drzewko młode,
które oddało życie, las, swobodę
poto, by ludziom przyozdobić święta...

Zaraz przybrano ją w przecudne szaty:
w barwne ozdoby, lalki bibułkowe,
w śniegu sztucznego skrzącą się ponowę
i w nić złocistej i srebrnej poświaty...

A zaś z wieczora, gdy zmierzch jeszcze świecił,
weszło ich dwoje z mnóstwem w rękach paczek
i obłożyło dołem świerczka krzaczek
niespodziankami dla swych małych dzieci...

O pewnej porze gong silnie uderzył,
drzwi się naoścież do sali rozwarły —
dzieci przypadły — w zdumieniu zamarły
i śmiech tam dzwonił i łzy — któżby wierzył!...

Poodwijano z paczek dziwne rzeczy:
tu lalki, konie, żołnierze, pajace,
tam gospodarstwo — kuchnię, serwis, tacę —
książeczki, stroje i zwierzę, co skrzeczy...

A wśród zielonych, zdobnych, sutych kiści
wnet zapłonęły gwiazd świeczkowych roje...
Szczebiocą dzieci: — to moje!... to twoje!
i jakaś wielka radość w nich się iści...

Choinka stoi — cudem ogni błyska
i cicho duma swoją duszą z lasu —
razi ją gwar ten i tyle hałasu:
czemu tak głośno cieszą się ludziska?...

A jeszcze potem ktoś siadł do pianina,
tuż za nim kołem wszyscy się zebrali,
dech w siebie wzięli — i starsi i mali —
i rozpoczęła się śpiewu godzina...

Choinka słucha, w tony duszę wtula,
drży igliczkami w takt rzewnej kolendy,
chybocą jakby w zachwyceniu pędy:
„Lulaj-że, Jezuniu, lulaj-że, lulaj!...“

I w oczach ludzi rzewność błysła mgiełką
łzy, co jest z serca, która tamy zrywa —
znać, że gromadka cała jest szczęśliwa:
„Lulaj, Jezuniu, moje pieścidełko!...“

Aż świeczki zgasły... Dzieci wzięła mama
spać, chociaż długo nie śpią roześmiane,
jeszcze je słychać, jak gwarzą przez ścianę —
choinka tylko pozostała sama...

Lecz właśnie dzwoni z wieży północ czasu,
szum jakiś dziwny uderza o kiście
i oto wkracza cicho, uroczyście —
uściskać drzewko — możny pan, duch lasu...

I niewiadomo sen to, czyli jawa
odtąd się wije, jeno świerk odżywa,
coś go pociąga, coś możnie go wzywa...
jest niby w lesie... korzonków dostawa...

Rośnie i szumi... czuje... widzi... słucha...,
a może tylko życie przypomina —
może śni tylko — może to godzina
czarów i dziwów z woli lasów ducha?...

. . . .

Gąszcz i cisza... Od księżyca
cienie wkrąg się snują —
zając tuż-tuż, klucząc, kica,
tropy wciąż kolują...

Stanął słupka, wąsy czyści
i skok wielki mierzy
na posłanie z kupki liści
w śniegowej odzieży...

Wtem w gałęziach szum się czyni,
trzeszcząc, ktoś się zbliża,
mąci ciszę w tej świątyni
bez świateł i krzyża...

Coś fuknęło, sapie, rzęzi,
z hukiem czyni młyńca,
aż wynurza się z gałęzi
wielki gwizd odyńca...

Potem skokiem pod choinę,
do pnia jej przypada
i z rozkoszą trze szczecinę,
i na zadzie siada...

Mocarz, widać, tęga sztuka:
kora raz wraz pryska,
o pień mocno szablą stuka,
co mu sterczy z pyska...

A tu nowy szelest wnika
od bliskiej polany —
niepokoi trochę dzika,
chociaż jest mu znany...

Chyłkiem przemknął tuż lisiura,
sznurkiem śnieg haftuje —
stanął chwilę i dał nura,
gąszcz się zwarł za zbójem...

A gdy dzik trop podjął nowy
na huczkę do stada,
chmara cała w biel ponowy
między świerki wpada...

Łyżki trwożnie strzygą w boki,
łowiąc kniei szmery —
chmara słucha o dwa kroki:
kozioł i kóz cztery...

Właśnie poszum wstał przedranny,
sarny ostrzą zmysły —
zgrzyt płużonej doszedł sanny —
zmieszały się — prysły...

. . . .

Nagle choinka budzi się ze zjawy —
zmilkł poszum lasu, znikły bratnie świerki —
przez szyby dzwonek zadźwięczał wśród wrzawy:
— to ludzie wrócili z Pasterki.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

EMOCJA ŁOWIECKA.

(Wspomnienie).

Wielka wojna. Ani wiek, ani odrębność narodowa, ani przekonania, ani logika... nie: brak logiki! nie chroniły od tego, że w krwawych zapasach Turczyna z „russkim czeławiekom" mógł głowę złożyć Polak.

Bez zapału dla obcej mi sprawy, bez głodu krwi „niewiernych", a tak miłych i o wysokiej kulturze ducha Ottomanów, jako oficer jednej z bateryj konnych, włóczyłem się przez półtrzecia roku od Karsu, poprzez Kara-Urgan, Hassan-Kałę i Erzerum, posuwając się wgłąb kraju Kalifa. Aż los tak zrządził, że na dłuższy pobyt zatrzymałem się w Achałkałakach na pograniczu, w *ad hoc* pobudowanej rosyjskiej forteczce, mającej nietyle bronić dostępu do Gruzji, co straszyć wroga samą swą obecnością.

Nikt nie przelał mojej krwi, ja też niczyjej nie przelałem... przez wdzięczność i dlatego bardzo miło wspominam tę „moją" wojnę. Uzbrojony byłem dobrze: karabinek kawaleryjski na szakale i lisy, specjalnie wybrany i celny, za plecami ordynansa, przy mnie — Husquarna 12 kal. i Zeiss.

Zresztą... nie biorę rzeczy ściśle. Krew przecie płynęła, ale to inna krew. Krew zwierzyny. Raz tylko moja, którą jednak nie ludzie ze mnie wytoczyli.

. . . .

Gdy jesienią w Achałkałakach przemierzyłem już całą okolicę forteczki w promieniu 20 kilometrów, codzień bez przerwy i wytchnienia bijąc na licznych jeziorach gęsi i drobiazg wodny, i gdy wrażliwość moja została stępiona wskutek zbytniej hojności św. Huberta, począłem się kapitalnie nudzić. Wreszcie przyszły mrozy, co grubsze ptactwo wyemigrowało. Czerwone kuropatwy też już mnie nudziły, obojętnie patrzyłem również na długodziobych maruderów, sennie włóczących się z oparzeliska na oparzelisko. Nic ciekawego: kszyk, bataljon, czasem kulig. Ani liczne, ani egzotyczne; kaczki były lepsze: co ustrzelona, to inna. Lecz i tym dałem spokój, bo zbyt zimna kąpiel na codzień zabijała urok zdobywania nieprzeciętnych okazów.

. . . .

Wówczas zająłem się sprawami fortecy.

. . . .

Gdy pewnego poranka, o szarej jeszcze godzinie wypełniła mi mój pokoik jasność rozprószonego światła — świętowałem. Spadł wreszcie śnieg i mogę tropić! Nie znałem wówczas lepszej zabawy nad pomyślne rozwikływanie łamigłówki, którą nasz poczciwy szarak sprytnie na białym puchu ułoży, zanim uśnie w kotlinie.

Jednak przez szereg dni nie podjąłem ani jednego śladu. Zajęcy w tej okolicy nie było wcale. Przyczynę odcyfrowałem odrazu na tym samym białym kobiercu. Spotykałem same lisie i wilcze tropy.

Zdziwiło mnie to niemało, bo w okolicy Achałkałaków po kije na psa i biczyska ludzie jeździli do odległego o 112 km. Borżomu. Nie widziałem nigdy nawet pojedyńczo rosnących krzaków. Same skały, skaliste usypiska, skaliste pola orne, łąki brzeżne dookoła jezior, skaliste dna jezior.

Skąd-że tu wilki? *)

*) Wyżyna Karska należy do wyjątkowo zasobnych we wszelkie gatunki zwierząt drapieżnych. Nie widziałem nigdzie większej ilości wilków, lisów, gronostajów, łasic i borsuków. Latem mają obfite pożywienie dzięki krociom gnieżdżącego się tam ptactwa przelotnego (przepiórki, ptactwo wodne i błotne, strepety, czajki i t. p.), zimą zaś dotkliwie cierpią od głodu i stają się bezczelne.

Gnieżdżą się w rumowiskach i usypiskach wielkich bloków skalnych, powstających dzięki częstym trzęsieniom ziemi i specyficznej budowie geologicznej tego kraju.

Obecność ich tak dalece przeczyła dotychczasowym moim wiadomościom, że nie dałem wiary ani opowiadaniom okolicznych ormian i adżarów, ani nie zwróciłem żadnej uwagi na tropy wilcze, mimo że różnice między psiemi a wilczemi były mi już wówczas dobrze znane.

Gdy więc przed pierwszym jeszcze śniegiem poczęły znikać z miasteczka kundle, porywane z pod progu chałupy, raczej byłbym skłonny przypisywać ormiańskiej rasie psów właściwości kamfory, lub snuć hipotezy o wpływie klimatu na masowo występujące psie wesela (stąd dłuższa nieobecność kundla w domu), niż uwierzyć, że wilk lubi jeść psa. A jednak tak było. Z tą jednak różnicą, że nie „lubi" lecz „musi".

Wreszcie wypadek, którego byłem naocznym świadkiem, przekonał mnie ostatecznie.

. . . .

Wracałem z koszar w samo południe (miałem w tym dniu obowiązek skosztować zupę i kaszę żołnierską).



Warchlaki

Mój foks uganiał się za wronami na śmietniskach z takim zapałem i skupieniem, że przegapił odejście swego pana i powracał sam do domu przez plac ćwiczeń, gdzie jeszcze przed kwadransem „roiło się" od 40—50 maszerujących żołnierzy. I widzę taką scenę: zza rogu zamieszkałego przez załogę fortecy budynku koszarowego, w bok foksowi, przecinając mu naukos drogę, sunie duże, płowe wilczysko. Dopadł szybko pieska i jedynie niepospolita zwinność i przytomność umysłu uratowały mi przyjaciela. Ani krzyki żołnierzy, ani nadbiegająca odsiecz nie zmusiły wilka do odwrotu. Dał za wygraną, gdy foks znurkował do wąskiego okienka w fundamentach altany, stojącej na środku placu.

Były i inne przekonywające dowody. O bezczelności wilków sądzić można choćby z tego, że w jednym i tym samym dniu z różnych wsi przywieziono do fortecznego lazaretu dwóch, w biały dzień poszarpanych ludzi!

Na „próbnych" czatach o $1/2$ km. od zabudowań fortecy padł z Husquarny śliczny, srebrzysty, stary wilk, a widziałem sześć!

. . . .

Wreszcie, gdy mnogość wilków nie wymagała już dowodów, a stale nawet wzrastała dzięki ściągającym z gór coraz to nowym ich partjom, począłem zacierać ręce, układając plan kampanji na wielką skalę, lecz w pojedynkę: strychnina — pod rzeźnię miejską nad rzeczkę; żelaza — na przesmykach w skalistych zboczach rzeczek Taparwan-Czaj i Achałkałak-Czaj; wreszcie — czaty, czaty, czaty, choćby co noc, aż do wygranej, do zwycięstwa!

Zwyciężyły wilki.

. . . .

W fortecy życie moje nie było zakłócone ani przez inspekcję wyższej przełożonej władzy, ani przez stosunek dowódcy fortecy, który nikomu nigdy nie za ufał i każdy nawet drobiazg musiał osobiście wykonać; żadnej chmurki ani niepogody... beztroskie, pełne zadowolenia i radości życie z dnia na dzień... na polowaniu.

Toteż, gdy pewnego razu z rozkazu dowódcy miałem wejść w skład komisji weterynaryjnej, która zgodnie z rozkazem d-wa armji czynnej kaukaskiego frontu, z dn.... przekazanego do wykonania... czyniąc osobiście odpowiedzialnymi... jako jedyny, trzeźwy oficer załogi (tego w rozkazie nie było, naturalnie)— dość, że miałem zbadać stan zdrowotny koni naszej fortecy wraz z weterynarzem — zbuntowałem się, ulegając wreszcie hasłom o „samostanowieniu narodów", głoszonym od tylu miesięcy przez Kiereńskiego... „mego" ministra wojny!

Jednak patrjarchalne namowy i perswazje, apel do przestarzałych w owe czasy poczucia dyscypliny żołnierskiej i subordynacji, a ściśle biorąc — miła, biorąca w jasyr prośba ślicznej córeczki mego dowódcy... „bo widzi Pan, tatuś byłby sam, tylko się tatuś zaziębił..."

Tak! Znałem mój obowiązek żołnierskiego posłuszeństwa, a pojęcia o dyscyplinie i subordynacji rzeką mi się do żył wlewały...

Córeczka miała 18, ja 21 lat...



Z polowania w Żołudku. Fot. nadl. Fr. Piasecki.

Smętnie wlokłem się popatrzeć, jak to z piórka w ręku weterynarza, nie mające złego przeczucia koniska, zlizywały powieką maleinę. Polowanie lisie z podjazdu i na wabia — odłożone, przepadło.

Po godzinie zmarzłem i prosiłem o pozwolenie podpisania czego trzeba in blanco.

Jakże hojnie zostałem wynagrodzony! Dwa konie reagowały dodatnio. Nosacizna. Trzeba zastrzelić. Mam więc dwie padliny, a dalsze, w miarę potrzeby, zrobią się.

Na pohybel wilkom! Sikim! Rizaty!

. . . .

Zastrzelone konie zostały po pokrajaniu skór i opaleniu słomą padliny zakopane. Wprawdzie nieco płyciej, niż nakazywał rozkaz, ale... gruda, zmarznięta ziemia, nikt nie sprawdzi; sam byłem inicjatorem tego odstępstwa od rozkazu.

Miejsce zakopania — tuż przy fosie nieużywanej obecnie strzelnicy w przepisowej odległości 150 sążni (około 300 m.) od zabudowań. Było ono bardzo dogodnem dla moich ukrytych celów.

. . . .

W pierwszym dniu nie ruszam się wcale, nie czatuję. Niech rozkopią padlinę i skosztują. W następnych... już ja im „dam ryby!"

Po odejściu komisji, kryjąc się przed ludźmi, jakbym co złego czynił, własnoręcznie wygrzebałem na zboczu wału, w głębokim śniegu schron. Obszerny, z siedzeniem, dobrze kryjący, ze strzelnicami na trzy strony świata. Ze stajni przyniosłem witerunek, wzięty wprost z pod końskich kopyt i futrem własnem nakryłem konia, by nasiąkło zapachem na jutro.

Noc spędziłem niespokojnie, roiły mi się trupy wilcze, strzały, rulowania — bez pudła. Tak to jutro będzie!...

Kilka razy otwierałem okno, łowiąc nocne szmery i wyczekując, czy przy padlinie wilki nie zawyją. I — doczekałem się. Od tego czasu nie lubię wilczej serenady. Tyle ma beznadziejnego smutku, jakiejś niezdrowej tęsknoty, jakiejś skargi bolesnej, żalu nieukojonego... Coś mię ściska w gardle, czuję wzruszenie. Mocna jest pieśń wilka i deprymująca. Foks zjeżył się wrogo, ja dostałem gęsiej skórki.

. . . .

Rankiem stwierdziłem, że jednego konia zjadły niemal bez reszty, drugiego napoczęły. To dobrze!

Dzień minął mi na rozładowaniu szrapnela, przetopieniu jego kulek na pręty, pocięciu prętów na siekańce i ukręceniu z nich loftek... na 6 nabojów! O, jakaż to żmudna i niewydajna praca! Ale innego sposobu nie było.

Gdy poczęło się ściemniać, wsypałem moje loftki do osobnego przedziału ładownicy i ruszyłem samotnie, nieco nadrabiając miną. Nocne wycie nosiłem w piersi, jak gruźlicę.

Aby nie zmarznąć, bo kto to wie kiedy wilczyska raczą się zjawić? — zabrałem prócz własnego futra jeszcze obszerny i wygodny kożuch wartowniczy.

Odrazu spostrzegłem, że mimo wczesnej pory spóźniłem się. Nad dołem z padliną w pewnej od siebie odległości stały 3 wilki, a czwarty, gdy się zbliżyłem, ruszył z dołu.

Nie pierzchły na widok człowieka, nie wiały w panicznym strachu, lecz z dziwną bezczelnością, a może godnością, usiadły na zadach, odsunąwszy się na blisko 150 kroków od padliny. Wyczekiwały widocznie na dalszy bieg wypadków. Zaniepokoiło mnie to srodze. Mogą przecie bestje, widząc jak się chowam do schronu, nie zbliżyć się więcej do padliny. Mogą zasugerować swem bojaźliwem zachowaniem te inne, które przyjdą. Poniewczasie żałowałem, że nie przyszedłem za dnia.

. . . .

Upłynęło może pół godziny. Przeliczyłem wilki. Było ich 11. Przechodziły z miejsca na miejsce, nie idąc ani wyraźnem stadem, ani w pojedynkę. Widać jednak było, że pewne grupy przy spotkaniu odgryzały się, inne zachowywały „nieżyczliwą" neutralność.

Księżyc wspiął się dość wysoko, widziałem niemal jak w dzień.

. . . .

Pierwszy strzał i trup padł niedługo potem. Gdyby nie młode, niezdyscyplinowane nerwy, gdyby mniejsza ostrość wrażenia strzału do wybranego z grupy piątki wilka, do którego składałem się dokładnie a długo... jednem słowem każdy bardziej opanowany i doświadczony myśliwy zrobiłby na mojem miejscu dubleta.

Zdziwiło mnie jednak pewne spostrzeżenie. Poza pozostałą po strzale czwórką, która pierzchła, wszystkie inne, bliższe nawet, drgnęły tylko i nieznacznie odsunęły się.

Przeliczyłem znowu spokojnie siedzące wilki po raz drugi. Teraz było ich z 15 w promieniu 100 kroków od padliny. Zupełnie nie zdradzały po strzałach

paniki, tak powszechnie przezemnie obserwowanej na Północnym Kaukazie; tem więcej mnie to dziwiło, że strzelałem dymnym prochem, dającym długi język ognia z lufy.

Prócz bliższych, liczyłem dalsze: tam dwa razem na prawo; na prawo — wskos trzy idą gęsiego za sobą; nawprost kilka samotnych, siedzących lub stojących sztuk; zza załamania terenu wynurzyły się znowu dwa. Pierwotnie rozkoszny przedsmak dobrego, udatnego polowania wilczego zmienił się. Poczułem pierwsze dreszczyki niepokoju i niepewności, co to dalej być może. *Nec Hercules*...

. . . .

Drugiego strzeliłem przy samej padlinie, a więc na 25 kroków. Padł w ogniu. W 10 minut potem, już z nieco drżącej ręki, strzelałem zbliska do trzeciego. Postrzeliłem go po zadzie. Zupełnie psim sposobem pospolitego kundla zakręcił się w kółko na miejscu, skowycząc i szczypiąc się za bolący zad. Gdy nadbiegły trzy inne, obaliły go i poczęły włóczyć po śniegu, na głos śmiałem się z uciechy. Tak „starsi" uczą głupiego i karcą go za to, że wlazł gdzie nie trzeba! Jednak podźwignął się, odgryzł, i na trzech łapach, wolno ruszył przed siebie, nie zmieniając do końca ani kierunku, ani tempa chodu. Uprowadził za sobą kilka zdrowych, krok w krok za nim zdążających z pyskami przy ziemi. Nie nacierały jednak na rannego.

Na drugi dzień wilk ten był znaleziony przez tropiących za farbą żołnierzy o 2 km. od padliny, ale rozszarpany i pożarty.

. . . .

W moim głośnym, nerwowym śmiechu była jakaś obca, niemiła nuta. Czy to wobec niepewności własnego położenia rad byłem, że mu dają szkołę, czy był to przejaw pewnego rodzaju sadyzmu, nigdy ani przedtem, ani potem nieujawnionego? Im bardziej go rozciągały w przeciwnych kierunkach, tem bardziej mię to bawiło.

Być może należy śmiać się tak na ringu, gdy upada i traci siły mniej zaprawiony bokser, bity w szczękę przez przeciwnika.

. . . .

Następnego wilka strzeliłem za sobą, Zaniepokojony skrzypieniem śniegu za plecami, od strony wydającej się za zupełnie bezpieczną, podniosłem się z pozycji siedzącej, by w tejże chwili przysiąść z powrotem. Między nami było może... 2 metry. Ani przez myśl mi nie przeszło, że bestje mogą wspiąć się na nasyp strzelnicy. Było ich trzy. Tylko najbliższy ustąpił pod ciśnieniem wzroku człowieka. Podniosłem się znowu i strzeliłem w otwartą pierś natręta.

. . . .

I wkradł się w młode serce strach. Roje mrówek biegną wzdłuż ciała. Pot występuje na skronie.

Role się poczynają zmieniać: idąc na łowy, mogłem się stać zdobyczą. Pierwszy przebłysk świadomości, że tak być może, mrozi krew i odbiera odwagę. Trzeba się wycofywać, póki jeszcze czas.

W tej chwili na strzał bliski do wyboru miałem kilka sztuk. Głos rozsądku nakazywał jednakże ostatnie naboje loftkowe zachować. Zachować dla obrony życia.

. . . .

Z pewnej perspektywy minionych lat, obecnie uważam, że najbardziej krytycznym psychicznie był moment opuszczenia schronu.

Porównałbym go z uczuciem walczącego żołnierza, mającego wyjść z okopu do akcji na bagnety. Sama decyzja opuszczenia schronu i jej urzeczywistnienie w tych okolicznościach było mechanicznem wykonaniem ruchów celowych, jednak pozbawionem kontroli i krytyki świadomości.

Gramoliłem się w futrze i kożuchu wartowniczym z dołu śnieżnego niezgrabnie, beznadziejnie. Analizując ten moment, widzę przewagę chęci przełamania przeszkód nad zbadaniem przyczyn i usunięciem ich. Mały przykład: nie zauważyłem, że nastąpiłem na połę kożucha, spoczywającą na siedzeniu schronu. Prostuję się — nie puszcza. Robię to po raz drugi, ale mocniej — nie puszcza. Wreszcie puściły... szwy.

O zrzuceniu ciężkiego kożucha jakoś nie pomyślałem. Byłbym zwrotniejszym przecie!

Jeśliby wilki napadły, gdy przez moment, leżąc piersią na śniegu, podciągałem kolano, by go oprzeć o brzeg dołu, wzięłyby mnie bez obrony, zupełnie zrezygnowanego i niezdolnego do walki.

. . . .

Przebyłem z trudem, trawersując stromem zboczem wału, około 50 kroków. Szły za mną, zbliżając się do padliny. Wreszcie minęły ją. Błyskawica myśli: idą po mnie — i czuję, jak jeży się cała moja skóra. Czuję kołatanie serca i duszność. Dokucza mi gorąco.

Do brzegu wału pozostało mi z 15 kroków.

. . . .

Pierwszy, nie największy nawet, zaatakował sam jeden, wprost od czoła. Poprzednio wytworzył się stan, którybym porównał z mechanicznem złączeniem mnie i wilków zapomocą niewidocznych, sztywnych prętów. Każdy mój ruch budził synchroniczny odruch wilczej zgrai. Każdy mój przystanek był ich przystankiem.

Nie widziałem wilczych oczu (wcale nie świeciły), lecz czułem pożądanie ich wzroku. Ruchy miały szybkie, zdecydowane, nerwowe. Nie było wśród nich wyprostowanego; wszystkie jednakowo na wpółzgiętych łapach, wszystkie frontem do mnie, uszy lekko wtył położone, brzuchy nisko przy ziemi.

Napięte, gotowe strzelić sprężyny stalowe, w odległości 30—40 kroków!

. . . .

Ten „odważny" po drugim strzale rulował prawie pod moje nogi. Zgraja drgnęła, poruszyła się, jak łan, i znowu wróciło napięcie nieme, nieruchome i groźne.

. . . .

Potem strzelałem raz-po-raz drobnym, kaczym śrutem, biorąc co było pod ręką w ładownicy i wybierając lufami kierunek większych skupień zwierząt. Nagle uczułem ból uderzonego palca w chwili strzału, oddanego w drodze strzelby do ramienia... nie celowałem już! Hukiem i ogniem chciałem straszyć, nie posuwając się naprzód.

. . . .

Byłem u Progu. W pamięci nie stawały obrazy drogich mi osób, z nikim się nie żegnałem, ani nie obejmowałem po raz ostatni piękna Matki-Ziemi tęsknem spojrzeniem skazańca.

Że „odejdę" — byłem tego pewien.

. . . .

Strzały szły tak gęsto, jak starczało czasu na wyrzucanie łusek i ładowanie. Gwizdanie drobnego śrutu wzruszało tylko partję bezpośrednio zaangażowana. Rozbiegały się, jak psy przed kamieniem. Rzadko który zaskowytał. Skowytałem... ja. Nie dające się opanować, niezależne od woli i wstydu przed samym sobą rzężenie wydobywało się z gardła.

. . . .

Do dnia dzisiejszego, a przecież było to lat temu 15, nie zatarła się ostrość wrażeń. Gdy, jakby tknięty przeczuciem, odwróciłem się, ujrzałem nad krawędzią wału, po raz drugi w tym dniu, w odległości 2 me-

trów — wilczy łeb. I skrzyżowały się spojrzenia — wilcze i moje. Nie cofnął się. Wyraz oczu widziałem i pamiętam: nienawiść i tępa, nieinteligentna zawziętość, jakby z zemsty zrodzona.

Innym razem, później, widziałem ten sam wzrok u rezuna bolszewickiego, gdy po „wyroku sądu uciemiężonych", miał zrzucić z pędzącej platformy wprost pod koła pociągu — zdemaskowanego oficera „białych".

. . . .

Spudłowałem i, widząc, że obecnie może najgroźniej się przedstawiają moje „tyły", posuwałem się ku dołowi, wprost na zgraję. Nie cofnęła się.

Przechodząc wpoprzek łosę, załamałem skorupę śnieżną i jedna noga uciekła mi wgłąb. Powiedziałem głośno: „koniec" i w tejże chwili silne pchnięcie od tyłu powaliło mnie na twarz w śnieg.

Niewiele pamiętam co było potem. Tak jakby coś ciężkiego mnie przygniotło i coraz głębiej w śnieg wbijało, to znowu wyraźne uczucie, że mnie ze śniegu wyciągają, a potem ostry ból, jakby grubą igłą zadany, w prawej łopatce.

Nad wszystkiem górował strach, by się nie udusić. Usta i nos zatkane śniegiem, nie mogę go odgarnąć uwięzionemi w śniegu i jakby skrępowanemi dłońmi...

Próbuję twarz od śniegu oderwać, by tchu złapać.. Wilki głupstwo... Powietrza!..

. . . .

Na rozkładzie dnia tego było 5 basiorów i 2 wilczyce, poza tym, którego postrzeliłem po zadzie, lecz uszedł, by oddać swoje mięso głodnym towarzyszom.

Gdy mniej więcej w trzy tygodnie potem wyjmowałem z ropiejącego oczodołu nowej ofiary Husquarny... śrucinę Nr. 4...

Aha! Servus! Przecie już się znamy!

Zaniepokojony gęsto padającemi strzałami w obrębie nieomal zabudowań fortecznych, wartownik zaalarmował wartę. Przybyła na długo przed ostatnim aktem, lecz, „nie wiedząc o co się rozchodzi", nie interwenjowała.

Wierzę, że widowisko mogło być zajmujące i niecodzienne!

WŁADYSŁAW ZAWADZKI

DO PP. PRENUMERATORÓW „ŁOWCA POLSKIEGO".

Pismo nasze, wydawane celem służenia sprawie łowieckiej i nieobliczone na zyski, w roku 1934 będzie w dalszym ciągu ukazywać się trzy razy na miesiąc w zwiększonej objętości 20-tu kolumn druku w każdym zeszycie.

Prócz tego, pragnąc w obecnych, ciężkich warunkach gospodarczych udostępnić jak najszerszym kołom myśliwych prenumerowanie „Łowca Polskiego", władze Związku postanowiły obniżyć prenumeratę do zł. 28.— rocznie, zł. 15.— półrocznie, zł. 7.50 kwartalnie, i zł. 2.50 miesięcznie.

Wyrażamy nadzieję, że wysiłki nasze spotkają się z pełnem uznaniem Szanownych PP. Prenumeratorów, i gorąco prosimy o rozpowszechnianie „Łowca Polskiego", oraz przypominamy odnowienie prenumeraty na rok następny (względnie jego część).

Ci z PP. Prenumeratorów, którzy te należności już wpłacili według dotychczasowych warunków prenumeraty, nadpłacone kwoty będą mieli zaliczone na dalszy okres.

REDAKCJA.

POŻYTECZNA, CZY SZKODLIWA?

W odpowiedzi na bardzo słuszny apel, utalentowanego redaktora p. Michała K. Pawlikowskiego (Ł. P. Nr. 33), którego pogląd bynajmniej nie wyraża się w „nudnem i czczem wałkowaniu" tego ważkiego zagadnienia, gdyż sama ilość polemistów dowodzi jak dalece sprawa jest aktualną, a nawet palącą — biorę pióro do ręki.

Długoletnia moja praktyka hodowlana, znajomość literatury międzynarodowej w tej dziedzinie, uprawniają mnie poniekąd do tego.

Oczywiście pewne zabarwienie subjektywności panować musi w każdej opinji i przekonaniu, i dopiero istota prawdy ujawnić się da po wysłuchaniu całego szeregu różnolitych zdań.

Rozpocznę od tego, że nie zupełnie rozumiem stanowczość określania w pierwszem zapytaniu Sz. Autora o bezwzględnym (absolutnym) podziale zwierząt łownych na pożyteczne i szkodniki. Nawet przy współczesnym, wszechstronnym i szerokim poglądzie na łowiectwo sądzę, że oprócz tych „generalij" zawsze jeszcze istniały i istnieć muszą pewne specyficzne, zawodowe odchylenia już nietylko przyrodniczego charakteru, ale myśliwsko - hodowlanego. Zdaje mi się, że ignorowanie zupełne owych „desideratów", że tak powiem, profesjonalnych nie jest wskazane. One też pod uwagę winny być wzięte.

Albowiem wszelkie ścisłe, teoretyczno - abstrakcyjne pojęcia, nieraz bardzo zresztą słuszne, gdy są traktowane z punktów widzenia szerokich rozpięć etyczno - naukowych, redukują się do zera, a nawet do kategorji z przeciwległego bieguna w zastosowaniu życiowem.

Tak naprzykład, krótko i węzłowato orzekające przykazanie boskie: nie zabijaj!

Atoli nikt, pomimo to, nie nazwie bohatera - wojownika o wolność i niepodległość swej ojczyzny, jak również walczącego choćby nawet z musu obowiązków honorowo - militarnych — notorycznym mordercą!

Taksamo, gdy *vis major* ochrony własnego życia przynagla do tego.

Jednem słowem istnieje cała gama subtelnych pierwiastków, przyczyn i okoliczności, mogących kardynalnie zmienić „aksiomaty etyczne", a także nieraz „praktyczne".

Mówię o tem, gdyż sądzę, że powinniśmy zupełnie odgraniczyć pod tym względem „zwierzopoglądy" uczonego, przyrodnika, poety, artysty *de puro grano* i... praktyka — myśliwego-hodowcy.

O ile pierwsze kategorje hołdują szerokim pojęciom, widzianym przez soczewkę niemalże humanitaryzmu wszechstworza, o tyle natomiast ostatnią interesować muszą eksperymentalne wyniki, a tylko już wypróbowane metody są dla niej cenne i miarodajne.

A ponieważ ludzie pierwszej grupy z zasady uważają wszelkie eliminowanie za naruszalność równo-

wagi i harmonji kosmosu, *ergo* — nigdy i nigdzie go nie zastosowywały, a więc, oczywiście, i rezultatów podobnie biernej akcji nikt też nigdzie nie widział.

Atoli — praktycy myśliwi — hodowcy mają już realne pod tym względem aktywa.

Ładnieby wyglądał bażantarnik, nietępiący (rzucam z całą bezwzględną brutalnością straszne to słowo) — lisów na swym terenie; hodowca sarn i głuszców, opiekujący się wilkami, rysiami; miłośnik kuropatw i drobnego ptactwa — w roli protektora gołębiarzy, kun i łasiczek. Nawet mając ochronę ich rodu na uwadze. Nie przeszkadza to bynajmniej, że serce jego, jako humanitarysty, raczej „zwierzysty", może krwawić, litując się nad lisią mordeczką o bezwładnie zwieszającym się języczku, lub ubolewając nad potrzaskanemi żelazem łapkami wpadłego w nie „palumbariusa"...

Tak płakać będzie serce przyrodnika, żyjące potencjonalnie w każdej duszy myśliwskiej, lecz robić „swoje" — będzie dalej.

I nie możemy z tego powodu czynić zresztą żadnych zarzutów.

Taksamo esteta, miłośnik historycznych łowów ubolewać nieraz będzie gorzko, że nawet ostatniego odblasku kresowych polowań dawnego aurora nentu, wilka krwiożerczego, tego wilka z bajek i opowiadań niani-staruszki, wilka drapieżnika o famie nawet niebezpiecznego zwierza będzie brakować, że nie prześlizgnie się już „polski tygrys", ryś hetmański z głębin świerczyn zaśnieżonych.

Smutnem to jest bardzo! — zupełnie rozumie się ową tęsknotę i nastroje żałosne, ale — cóż robić?

Pozostaną zawsze dla zachowania tych gatunków, z dołączeniem żubrów, niedźwiedzi i łosi — parki i rezerwaty narodowe, powstaną w Polsce swoiste Yellowstone'y. Wierzę w to głęboko. Tam wieczna równowaga gatunków zachowana będzie zawsze.

Ale kto wie, czy i tam nie będą zmuszeni rzecznicy szerokich, idealnych poglądów zmienić ich, zmodyfikować nieco.

Kto dożyje — zobaczy!

Wracając do sedna i podłoża dwóch zadanych przez p. redaktora Pawlikowskiego pytań, pierwsze z nich sformułuję, rozczłonkowując je na: a) kąt widzenia etyczno - przyrodniczy (dotychczas zupełnie empiryczny, gdyż żaden z luminarzy nauki nie przeprowadzał, o ile mi wiadomo, badań o zabarwieniu tępicielskiem) i b) punkt zapatrywania się hodowlano-myśliwski.

Ten ostatni przy pomocy drogi doświadczalnej ma już skonkretyzowane zupełnie pożyteczne rezultaty.

Nie słyszałem bowiem, żeby ktoś prowadził racjonalne łowisko na zasadach zupełnej równowagi — bukolicznego współżycia gatunków a la arka Noego.

Wobec czego absolutny podział zwierzyny na użyteczną i szkodliwą według mnie ryczałtowo nie daje się rozstrzygnąć. Stanowi to problemat niewykonalny.

Naturalnie, że obok tego wzajemne kompromisy są możliwe, a nawet konieczne, jak zresztą w cyklu niemalże wszystkich zagadnień życiowych.

Jedynie matematyczne aksiomaty są we wszystkich okolicznościach nienaruszalne, jako granit logiki. Ale życie nie operuje li tylko cyframi. Symboliczne formuły nie mogą mieć w niem stałego zastosowania. Szeroka koloratura, wyrobiona przez praktykę nieraz do góry nogami zmienia, przeinacza nawet kardynalne postulaty.

Stanowią one kamień węgielny, na którym wybudowany może być gmach o dowolnym stylu, zastosowanym do określonych okoliczności. A specjalność tych warunków stanowią wyniki wyprodukowania niektórych gatunków zwierzyny do stanu, przewyższającego „naturalną pojemność" łowisk (i to nie w ścisłem znaczeniu bażantarń, ogrodzonych terenów, ale powtarzam: łowisk).

Oczywiście, że tam eliminowanie musi koniecznie mieć miejsce.

Wobec tego jasnem się staje, że i przeprowadzenie linji demarkacyjnej w pojęciu ogólnem, co zawiera drugie pytanie ciekawego kwestjonarjusza, jest taksamo względne, będąc wynikiem tegoż rozumowania.

Odnośnie nieprzesadnej, umiarkowanej ochrony drapieżników, jestem wręcz przeciwnego z Sz. Autorem zdania.

Prawdziwy hodowca-myśliwy i miłośnik przyrody zarazem, właśnie winien mieć indywidualne „widzimisię" w tych sprawach.

Kwestja rozmnoży i usuwania przyczyn, stojących jej na przeszkodzie, bywa o tyle skomplikowana i w takiej mierze zależy od lokalnych warunków, że wszelkie ustawowo-szablonowe reglamentacje mogą tylko być brzemienne w ujemne skutki.



Z Tatr. (1929 r.) Fot. J. Małachowski.

Zresztą nasza brać myśliwska tyle już dała dowodów swych organizacyjnych zdolności w najcięższych warunkach! Chociażby na tych samych Kresach, pod zaborem moskali.

Pomimo fatalnej trzechpolówki, planowego jątrzenia przeciw obywatelom „krowopijcom" i ich pańskim zachciankom, demagogicznych zakusów rosyjskich sądów w sprawach łowieckich, stworzyliśmy jednak pierwszorzędne zwierzostany na dalekich, dzikich polach Wołynia i Polesia. Nawet o ściśle naukowym zakroju, jak Pilawin ś. p. Józefa hr. Potockiego.

A w odrodzonej ojczyźnie — czyż nie czynimy tego samego?

Nie! — naszemu hodowcy—myśliwemu zaufać można i trzeba.

Nikt na nas nigdy nie zawiódł się i — nie zawiedzie.

Na elementy niepowołane żadne ustawy nie wpłyną. Są one potrzebne dla terenów rządowych, bądź dzikich, lecz przenigdy nie tych, które są pod kustodją prawidłowo działających stowarzyszeń i kółek łowieckich, czy też rzetelnych dusz myśliwskich. Zresztą i dobrze zrozumiana kalkulacja handlowa tak czynić każe.

Tych kilka myśli wypowiadam z głęboką wdzięcznością dla szanownego inicjatora dyskusji, gdyż *du choc des opinions, jaillit la vérité.*

A prawda podwaliną jest życia i wszelkich jego przejawów w całym ogromie rozpiętości swych nieuniknionych komplikacyj.

ADAM RZEWUSKI.

TEORJA DLA TEORJI I JESZCZE COŚ.

Usus te plura docebit.

Że w artykule „Przed konkursami psów" (Nr. 26 „Łowca Polskiego" z r. b.) poruszyłem temat żywotny — za dowód niech służą polemiki, drukowane w Nr. 29, 30 i 31 „Łowca Polskiego".

Gdybym mógł sobie pozwolić w tej chwili na napisanie rzeczowej krytyki zapatrywań niektórych z moich Szanownych Oponentów i utrzymać artykuł w tonie wersalskiego sporu, forma ta najbardziej odpowiadałaby osobistym moim upodobaniom.

Niestety. Gdybym sobie na ten wykwint chciał zezwolić, z pewnością niektórzy z Szanownych Czytelników uważaliby krok mój za wyraz kapitulacji, do czego dla dobra sprawy, gorąco myśliwych obchodzącej, dopuścić nie mogę.

Z konieczności, mającej swój podkład w różnicy pojęć o formie polemiki, nie będę też mógł znaleźć właściwego odpowiednika na niektóre wystąpienia i te pominę milczeniem.

A zatem postaram się dostosować do poziomu, który mi wytyczono, i zacznę od spraw bliższych, od artykułu pana Świderskiego („Ł. P." Nr. 31).

Wysoce utalentowanemu Autorowi „Przekreślenia trzynastu lat pracy hodowlanej" składam na tem miejscu należne podziękowanie nietylko za zaszczycenie mojej osoby cennemi Jego uwagami, dotyczącemi wyjaśnień zawiłych i niezbadanych teoryj hodowlanych, ale i za rady, mogące wpłynąć na trafniejsze tytułowanie moich nieudolnych prac pisarskich.



Blackfield Galca właśc. W. Marra, Berlin, córka „Janko" Obecny wł. Dr. Bielawski. Wielokrotnie nagrodzona na próbach polowych i wystawach.

Jeśli już mam szczęście pobudzać Sz. Autora do tak przyjemnej dla mnie (sądzę, że i dla niektórych czytelników) elokwencji, to obawa, co do pójścia za wskazówką p. Świderskiego w kierunku zmiany tytułu „Przed konkursami psów" — na — „Przekreślenie trzynastu lat pracy hodowlanej", polegałaby zaledwie na tem, że zdaniem mojem, treść artykułu cokolwiek nie odpowiadałaby ramom owego „przekreślenia". A więc, jak radzi La Fontaine:

„Czyńmy swoje, pomimo nagan i przytyków,
Bo nic nie zadowolni wybrednych krytyków".

Pozwoli mi zatem Sz. Autor wyjaśnić, że chodziło tylko o zwrócenie uwagi na psy i na konkursy, a tego dopiąłem, czyli, że moje elukubracje wraz z nieodpowiednim tytułem osiągnęły zamierzony cel.

Również z najwyższą wdzięcznością muszę przyjąć uwagę Sz. Autora o znaczeniu słowa „konkurs", które nie może, według p. Świderskiego, być używane bez pomocniczego rzeczownika (tak zrozumiałem).

Przyznaję, że zostałem wprowadzony w błąd przez „Słownik języka polskiego" (redakcja J. Karłowicza, A. Kryńskiego i W. Niedźwiedzkiego — Warszawa 1901 r), gdzie w zeszycie 9-ym na str. 444 powiedziano, iż „konkurs" oznacza „współubieganie się o pierwszeństwo".

Uległem tedy powszechnemu złudzeniu, że „Słownik" jest dość pewnem źródłem znajomości języka.

Usilnie starając się udowodnić, w dalszym ciągu, brak umiejętności używania odpowiednich określeń przeze mnie, poddał Sz. Autor analizie zwrot: „konkurs psów" i raczył zagłębić się w dziedzinę filozofji, twierdząc, że p o j ę c i e „konkurs psów" „nie istnieje".

Tak kategoryczne wykreślenie jakiegokolwiek „pojęcia" upoważnia mnie do przypomnienia o istnieniu w świecie filozoficznym wszelkich pojęć. I to z prawem do definjowania.

Coprawda nie każde pojęcie daje się umysłowi ludzkiemu i dostępnym człowiekowi językiem określić. W tej kwestji już sporo najwybitniejszych filozofów starożytności i czasów nowszych potrafiło się wypowiedzieć, przychodząc do wprost przeciwnego wniosku, niż p. Świderski.

I tak — zawyrokowano, że wszelkie pojęcia mają prawo bytu, jedynie człowieka nie stać czasami na zdefinjowanie tych pojęć.

Do typowych przykładów w tym względzie należy filozoficzne pojęcie „czasu".

Nie wątpię, że i p. Świderskiemu wiadomo o istnieniu pojęcia „czas", ale wątpię, czy umiałby dać definicję tego i s t n i e j ą c e g o pojęcia.

Więc po tej, niezbyt dla myśliwskiego pisma odpopowiedniej, dygresji filozoficznej, wywołanej przez Sz. Autora, oczekiwać muszę na rewelację i chętnie się nawrócę, o ile nowe teorje, głoszone przez p. Świderskiego, przemówią do mnie logicznością wywodów, opartych na gruntowniejszej znajomości poruszanego tematu.

Tymczasem pragnąłbym przyznać i tym razem p. Świderskiemu zupełną rację, ale — dopóki mnie nie przekona — pozostanę przy twierdzeniu, że pojęcie „konkurs psów" istnieje i oznacza współubieganie się o pierwszeństwo pomiędzy psami; wszystko jedno, czy w piękności, czy w brzydocie, bo to są już określenia bliższe, które, w naszym wypadku, czytelnik znajduje w podtytule lub treści.

Kończąc z tym, mało pożytecznym dla psiej sprawy, wstępem, muszę, jako członek redakcji „Łowca Polskiego", wyrazić Sz. Autorowi — Członkowi Zarządu P. Z. S. Ł. słowa podziękowania za Jego pochwałę „odwagi" i „wdzięczność", skierowane pod adresem redakcji z tytułu umieszczenia mego artykułu.

Bardzo pięknie od siebie dziękuję.

*

W meritum artykułu p. Świderskiego uderzył mnie brak zdecydowanej opinji o intencjach, które mną powodowały w czasie pisania: „Przed konkursami psów".

Poprostu Sz. Autor gubi się w domysłach, zupełnie zresztą niepotrzebnych.

Zwracając się do hodowców, w omawianym artykule napisałem: „proszę o przyjęcie mych osobistych wrażeń, jako wyrazu pełnej życzliwości".

Gdyby p. Świderski raczył więcej uwagi poświęcić tym moim słowom, nie zmusiłby Czytelników do tłumaczenia takich zestawień: „p. Dylewskiego nikt pewno nie posądzi o chęci szkodzenia sprawie", a dalej: „uderzenie p. Dylewskiego, wymierzone wyłącznie w stronę hodowców", albo znów: „na szczęście zamach ten nie jest trudny do odparcia".

Niechby więc Sz. Autor wybrał: albo „zamach" i „uderzenie", albo „nieszkodzenie", gdyż, zdaje mi się że wprowadzenie tak różnorodnych i wrogich sobie pojęć może nasunąć przypuszczenie o braku ustalonej opinji.

Pozatem przebija głębokie, a chlubne przeświadczenie Sz. Autora o tem, iż mój „zamach" jest „łatwy do odparcia".

Podobno wiara we własne siły — to cecha chwalebna, ale w tym wypadku nietrudne istotnie wybrał sobie Sz. Autor zadanie, bo jakżeż tu obalać nieistniejącą przeszkodę?

Stwierdzam, że zamachu nie było.

Mam prawo sądzić, iż wielu z Czytelników „bez trudu" zorjentowało się, po przeczytaniu mego artykułu, że nie chodziło o „uderzenie" w hodowców, ale o zwrócenie uwagi na pewne usterki hodowlane, których istnieniu zresztą p. Świderski kategorycznie zaprzeczyć nie mógł i nie zaprzeczył.

Z godną podziwu łatwością rozprawia się Sz. Autor z mojemi zarzutami, szeregując je, podkreślając, cytując całe zdania, i nie przeciwstawiając im nic, prócz zdekompletowanego abecadła teorji hodowlanej, ale tylko teorji.

Zaczął p. Świderski od przytoczenia moich słów: „hodowcy rozpoczęli linję od niewłaściwych reproduktorów".

Z całą staranością szukałem „odprawy" na ten „łatwy do odparcia" zarzut i nigdzie jej w artykule p. Świderskiego nie wyczytałem. Autor usiłuje grzecznie nazwać wysunięte przeze mnie tezy absurdem, przeciwstawia im, ze swoistą kurtuazją, aksjomaty „poważnych" (to niby nie takich, jak ja) hodowców, i pisze: „otóż należy raz na zawsze wyjaśnić, że przy kupnie reproduktora decydował, decyduje i decydować będzie rodowód".

Powiedziane mocno, i powiedziane, jak tym razem, dobrze. Decyduje w hodowli rodowód. Tylko nie sam rodowód. Bo jakżeż może decydować o zdrowiu, budowie, charakterze, usposobieniu, wreszcie i o innych cechach, ważnych dla prawdziwego hodowcy — papier, wymieniający pochodzenie, papier, stwierdzający, przy pomocy innych, zdolności przodków.

Należy zbadać rodowód przy kupnie reproduktora. Oczywiście. Ale nie wolno przesuwać do warunków drugorzędnego znaczenia — zdolności przelewania na potomstwo cech dodatnich. To jest kardynalny warunek, o którym hodowca zapomnieć nie może, a który p. Świderski pominął.

Nie uważam za stosowne wymieniać z nazwiska naszych hodowców, którzy kupowali reproduktory sposobem, zaleconym przez p. Świderskiego, jednak pozwolę sobie na przytoczenie przykładów, wziętych z naszego życia hodowlanego, przykładów, opartych na faktach znanych, jak sądzę, Sz. Autorowi, a widocznie zapomnianych.

Ktoś wyczytał wiadomość o słynnym hodowcy szwedzkim, który miał do zbycia starawego już psa z kapitalnym rodowodem.

Korespondencyjnie załatwiono tranzakcję kupna. Przysłano psa. Zaczęły się próby w polowaniu. Budowa reproduktora — wspaniała, w polu — robota artystyczna; pies tylko nieco tchórzliwy, ale to bagatela.

Z niecierpliwością oczekiwano potomstwa, które nareszcie podrosło.

Tresura szła, jak po maśle, charaktery przyjemne, wiatr u wszystkich — doskonały. Jednem słowem — same zalety.

Gdy zaczęto z tą młodzieżą na serjo polować, okazało się, że 90% panicznie obawia się strzału i ucieka z pola do domu, gdzie z najciaśniejszego kąta nie można jej wywołać, gdy widzi strzelbę.

Reproduktor przelewał zalety swoje, ale też i lękliwość wrodzoną, która występowała u potomstwa we wzmożonym stopniu i chorobliwej formie.

To było kupno z fotografji.

Inny przykład. Także z naszych stosunków.

Sprowadzają, bez oglądania i próby, jakiegoś arcypsa z Niemiec.

Rodowód — wspaniały. Pochodzenie — po doskonałych psach polowych. Wzrost, wiek — wszystko w porządku, a grunt, że rodowód...

Przyjeżdża znów taki psi dygnitarz i okazuje się, że posiada kardynalną wadę w budowie tylnych nóg (krowia postawa).

Pies ładny, poczciwy, bystry, ale chodzić nie może. Kaleka.

80% szczeniąt po tym „decydującym rodowodzie" również ma krowi zad i też nie może się odpowiednio poruszać.



„Brawo" p. W. Klimpla. Fot. właściciel.

A czy mogło być inaczej?

Wymienione przykłady nie powinny być uważane za „wypadki", bo tych zdarzało się za wiele, przez co stanowiły pewną regułę. Zresztą mogę jeszcze wymienić bardziej jaskrawe.

Pamiętam kilka reproduktorów, sprowadzonych ze Szwecji. Były zewnętrznie b. piękne, były średnie i były słabe.

Potomstwo zato dziedziczyło wspólną, a niezbyt wartościową cechę: brak wiatru. I to nie w pierwszem specjalnie pokoleniu, ale i w drugiem i w następnych.

Inne znów reproduktory ślicznie przekazywały dobrze zagospodarowaną gruźlicę, która zniszczyła dużo odhodowanego przychówku i wreszcie — główny jej rozsadnik — samego reproduktora.

A rodowody „decydowały".

Że z tych różnych *faux pas* udało się wyhodować kilka psów niezłych — nie należy kwalifikować rzadkich objawów pomyślności do sukcesów hodowlanych.

Dobra hodowla daje zawsze odpadki, stanowiące nieznaczny procent. U nas jest odwrotnie. Dobrych psów posiadamy zbyt mało w stosunku do materjału, dla hodowli bezwartościowego.

Przejdźmy znów do artykułu p. Świderskiego.

Przykład ze sprzedażą roczniaków folbluta zapewne przez pomyłkę dostał się do artykułu Sz. Autora.

No bo jakżeż? Roczny koń angielski, dla znawcy, już daje możność osądzenia, z dużą dokładnością, jego siły i zdrowia, zresztą roczny folblut — to już pół konia, i gdy się za niego płaci, wtedy już widać niezgorzej, co się kupuje. A jak tu zajrzeć w rodowodzie do psiego nosa, żeby się dowiedzieć, czy potomstwo zwietrzy kuropatwę na 10 kroków, czy na 50?

Wszak mówimy o reproduktorach.

Nie dziwię się tedy zarzutowi, który p. Świderski, z wyszukaną uprzejmością, skierował pod moim adresem, mówiąc: „pan Dylewski nie zupełnie odróżnia kupno reproduktora od kupna psa do polowania", bowiem Sz. Autor wywołał wrażenie, jakby nie wiedział dokładnie, co to jest reproduktor.

Dedukując, mógłbym wnosić, że zatem i sąd o mojej ignorancji przewyższać musi siły sądzącego.

Następnie p. Świderski wypowiada taką sentencję: „Trudno wymagać od hodowcy, ażeby koniecznie łączył swoją pracę hodowlaną z pracą już raczej myśliwską".

Gdyby wypadało mi nazwać to zdanie p. Świderskiego herezją — użyłbym tego określenia.

„Układanie psów w polu powinno być i jest u nas rolą samych myśliwych" — mówi p. Świderski, starając się odciążyć hodowców z zasadniczego wymagania, za jakie należy uważać pracę reproduktorów.

Mniejsza już o to, że w języku polskim „układanie" nie jest „rolą", ale chodzi tutaj o ruch, o zdrowie, o hartowanie szczennych suk - matek, a tem samem i ich potomstwa.



Na letniem polowaniu.

Niechaj się stanie zadość życzeniu p. Świderskiego; niech myśliwi polują z potomkami reproduktorów. Tak powinno być. Ale i reproduktory, jeśli hodowla nie ma być nazwą bez znaczenia, muszą też pracować i to pracować ciężko.

A pracą dla psa rasy myśliwskiej nie jest spacerek, tylko polowanie, bo hodowla ma na celu wyprodukowanie cennego materjału do polowania, a więc polowanie jest osią, dokoła której obracać się muszą wszystkie wysiłki hodowców.

I dlatego dobry hodowca musi być dobrym myśliwym, bo u słabego myśliwego najlepszy pies nie pokaże tego, co pokazać może, a tem samem uniemożliwia przeprowadzenie należytej selekcji.

Nie znam takiego systemu w hodowli, któryby wyznaczał odmienne warunki pracy dla reproduktorów, dla matek, i odmienne dla produktów hodowli.

Oczywiście — stadne matki, w dodatku wysokoźrebne, nie mogą stawać do „Derby", gdyż wiek i kondycja ich na to nie pozwala, stare ogiery nie mogą iść w zawody z dwulatkami, ale i klacze źrebne, i ogiery-reproduktory, i buhaje zarodowych obór, dla zapewnienia zdrowia im samym, a przez to i potomstwu, muszą pracować.

Niemasz rozdziału, jakby tego chciał Sz. Autor, pomiędzy „pracą hodowlaną" i „pracą myśliwską", bo to całość.

Kto chce hodować bez polowania, niech zamieni psy myśliwskie na ratlerki.

Zapatrywania na zadania hodowców, wyrażone w ten sposób przez p. Świderskiego, nietylko utwierdziły mnie całkowicie w przekonaniu, że Sz. Autorowi chodziło o obronę źle stosowanych założeń teorji hodowlanej; te zapatrywania chcą poprostu poderwać zaufanie do nabytych przez p. Świderskiego znajomości wymagań od całokształtu hodowli.

Idźmy dalej.

Z błędu, który, podług mnie, popełnia p. Świderski, dzieląc pracę na hodowlaną i myśliwską, konsekwentnie wypływa u Sz. Autora zaprzeczenie istnienia psów - konkursowiczów.

Właśnie ci zamiłowani hodowcy, którzy myślą kategorjami p. Świderskiego — ci, separując polowanie od „pracy hodowlanej" utrzymują psy i układają je wyłącznie do występowania na konkursach.

A więc niech Sz. Autor pogodzi się z wynikiem postępowania, będącym niczem więcej, jak logicznem następstwem wyrażonego przezeń podziału.

Z jednej strony p. Świderski pragnąłby całość podzielić, a z drugiej — podzielone chce gwałtownie scalić.

Na zakończenie mojej skromnej i niedołężnej obrony przed „łatwym" do wygrania dla p. Świderskiego atakiem, pragnę jeszcze raz podkreślić całkowitą solidarność z Sz. Autorem, w tej części Jego wystąpienia, gdzie składa uznanie dla dotychczasowej pracy naszych hodowców.

I ja to uznanie w sercu noszę i pracę ich podziwiam. Krytyka jednak, życzliwa krytyka pozostanie na długo jeszcze objawem głębszej troski i przyniesie więcej pożytku, niż dyplomatyczna pochwała istniejącego stanu rzeczy, która usypia czujność.

Ideały wolne od krytyki żyją tylko w sferze teorji.

Tyle — o artykule p. Świderskiego.

Z całą przyjemnością przechodzę teraz do omówienia pewnych wątpliwości, które w tak ujmująco uprzejmej formie wyraził, pod moim adresem, pan hr. Rzewuski.

Le style c'est l'homme — głosi przysłowie narodu, którego wysoką kulturą jest tak głęboko przepojony Sz. Autor artykułu „Jeszcze w sprawie konkursów psów" („Ł. P." Nr. 30 z r. b.) i w myśl tego przysłowia twierdzę, że najbardziej nawet przykrą uwagę można przyjąć z podziękowaniem i wdzięcznością, jeśli jest zwrócona w tonie i formie nieobrażającej ambicyj człowieka.

Coprawda Sz. Autor posiada cenną właściwość dużych zdolności komplementacyjnych, a piękne słowa niezasłużonych pochwał umiejętnie rozrzuca hojną dłonią między żywych i umarłych.

I mnie się też dostało niesprawiedliwie, jednak — cóż mam począć?

Choć to niesprawiedliwość, a przecież przyjemna.

Zdaje mi się, że znaczną część wyjaśnień, które się należą p. hr. Rzewuskiemu — oczywiście w zmienionej szacie, podałem do publicznej wiadomości, odpowiadając na artykuł p. Świderskiego.

„Nie rozumiem atoli, — pisze p. hr. Rzewuski — dlaczego pies o mocnej indywidualności nie miałby nadawać się do konkursów".

Owszem. Taki pies bardzo się nadaje. Właśnie taki mocny nadaje się bardziej od przeciętności, tylko nad mocnym trzeba, jak wszędzie i zawsze, mocno pracować. Mocno, to znaczy umiejętnie, długo i wytrwale. Taka praca pociąga za sobą znaczniejszą stratę czasu, a przedewszystkiem trzeba powiedzieć, że nasi treserzy najczęściej nie umieją sobie z mocnym psem radzić. Nie chcąc zaś wykazywać swoich braków zawodowych, rozprawiają się krótko, kwalifikując psa. jako „nienadającego się" do pola i... trudność ominięta.

A gdy właściciel uprze się i psa do konkursów zapisze, to sprzyjający w tym wypadku menerom brak tresury i tak psa dyskwalifikuje.

„Czy rak, czy ryba — durak Kandyba". „Czy ryba, czy rak — Kandyba durak".

A więc treserzy starają się wyeliminować materjał, który zastępują naturami uległemi, poddającemi się z trwogą i drżeniem woli człowieka.

Pan hr. Rzewuski miał możność przekonania się o tem podczas ostatnich prób polowych, na których, z wyjątkiem „Bey'a", — wszystkie psy były tak „ściśnięte", że musiały z konieczności robić wrażenie niedołęgów.

Tych, które się „ścisnąć" w krótkim czasie nie dały, na konkursach nie było.

Nie mogę się też tak łatwo przychylić do zdania Sz. Autora, wróżącego „niewykonalność" zmiany organizacji konkursów — w przyszłości.

Nie zupełnie rozumiem, dlaczego mam nie dążyć ku lepszemu, dlaczego mam porzucić starania i zaniechać myśli o zbliżaniu się w tych poczynaniach, — ku ideałowi.

Czy Sz. Autor nie uważa, iż słowo „niewykonalność" obniża tendencje ludzkiej zdobywczości i tamuje postęp?

Czyż naprawdę nie do pomyślenia jest próba psa, przeprowadzona np. konno, na dużych przestrzeniach i trwająca, powiedzmy, cały dzień?

Czy rzeczywiście taka myśl przewyższa śmiałość zamiarów, które powinniśmy zrealizować w omawianej dziedzinie dla pożytku i wykazania naszej tężyzny?

JERZY DYLEWSKI.

Ś. P. SEWERYN KROGULSKI.

„Chociaż nie skończysz, ciągle rób,
Ciebie, nie dzieło, porwie grób;
Choć tu na ziemi krótko nas,
Czas wszystko skończy, bo ma... czas".

K. Brodziński.

Padają nietylko drzewa kruche, ale walą się nazawsze także potężne, wiekowe dęby. Człowieku, nieproszony gościu na tym świecie! Nie zatrzymasz czasu w jego biegu. Daremna praca, daremny trud.

Żałobą okryły się serca myśliwych, a szczególnie ciężki kir padł na małopolski świat łowiecki. W dniu 5 grudnia b. r. zameldował się do pełnienia wieczystej służby przy św. Hubercie emerytowany radca Wydziału Krajowego, Seweryn Krogulski, nestor polskiego łowiectwa, przeżywszy 84 lata pracowitego i zasłużonego żywota, w tem niemal 70 lat pod zielonym sztandarem św. Huberta.

Oto co pisze w swym wierszu „Pierwszy dzik", drukowanym w Nr. 8 „Łowca" 1884 roku:

„Odkąd mi, wyrostkiem prawie,
Gdym na szkolnej siedział ławie,
Po raz pierwszy w róg zagrano,
Odtąd, boska ty Dyano,
Przy ponętnym twym rydwanie
Wiernie kroczę, niezachwianie.
Służbym niósł ci pokolei:
W dzikim stepie, w górskiej kniei,
I na błotach i na wodzie,
I o chłodzie — i o głodzie".

I w istocie, aż do końca życia swego pozostał wierny tym słowom, kreślonym przed pół wiekiem. Bowiem w tym roku jeszcze brodził wśród oczeretów małopolskich, polując na kaczki.

Lecz ś. p. Krogulski zrozumienia dla sprawy łowieckiej nie zamykał tylko w samych polowaniach. W trzecim roku istnienia pierwszego w Polsce pisma łowieckiego, jakiem był do dziś wychodzący „Łowiec", t. j. w r. 1880 zapisuje się na członka ówczesnego Galicyjskiego Towarzystwa Łowieckiego, dzisiejszego M. T. Ł., bierze wybitny udział w jego zebraniach, zamieszcza w „Łowcu" pełne serca wiersze, artykuły i korespondencje, nacechowane nadto wszechstronną znajomością tematu.

Erudycja ta i świetne pióro pozwoliły Mu wreszcie objąć na szereg lat redakcję „Łowca". Prowadzi ją godnie, jak i poprzednicy jego, do których odszedł bezpowrotnie. Prace swe umieszczał nietylko na łamach „Łowca", lecz i innych pism. W związku z 50-leciem trylogji H. Sienkiewicza wspomnę o feljetonie ś. p. Krogulskiego p. t. „Sienkiewicz jako myśliwy", drukowanym w odcinkach „Sportu" 1922 roku. Ukoronowaniem łowieckiej, pisarskiej pracy ś. p. Zmarłego, jest dzieło „Pół wieku", zawierające na 269 stronicach dzieje Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego, dzieje zbudzone „z mgły półwiekowej przeszłości".

Za te wszystkie niecodzienne, a wiecznotrwałe zasługi, położone dla sprawy łowieckiej, Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich nadał ś. p. Krogulskiemu najwyższe odznaczenie łowieckie „Złom".

Niezastąpiony kompan na łowach, pozatem człowiek gołębiego serca, kryształowego charakteru i o wysokiem poczuciu etyki myśliwskiej, był stale dla wszystkich wyrocznią, superarbitrem, gdy w czasie polowania trzeba było rozstrzygać niejasne sprawy. Współtowarzysze łowów kornie chylili czoła przed wyrokiem sędziwego ś. p. Krogulskiego, bodajże jedynego przedstawiciela świetnej tradycji dawnych łowów polskich.

Czcigodny Panie Sewerynie! Ponowa! Czy słyszysz? gra trąbka! W uszach wydzwania pieśń myśliwska Szytlera, z przed stu lat:

„Hej bracia! raźno! wesoło!
Rzućcie sen jałowy!...
Zbierajcie się w liczne koło!...
Pójdziemy na łowy".

I poszli... lecz bez Ciebie. Ty śpisz, Druhu serdeczny! A tu grzmią strzały na terenach podlwowskich...

Żegnam Cię w imieniu tych, którzy Cię znali. Stojąc nad Twą świeżą mogiłą, żegnam Cię w imieniu Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego", jako dzielnego Kolegę pióra. Żegnam Cię w imieniu całego polskiego świata myśliwskiego. Niechaj Ci cisza Łyczakowskiego cmentarza i poszumy jego drzew mówią o naszym żalu i trwałej pamięci o Tobie.

Czcigodny Panie Sewerynie! Przyjm ten nekrolog, chwiejnem piórem skreślony, od tego, który Cię znał zbliska.

Przed kilku laty dedykowałeś mi swą ostatnią pracę, jako „towarzyszowi wspólnych dróg, wiodących do upragnionego celu". Dziś zboczyłeś od tej „wspólnej drogi"... Dlaczego?...

Dziś klęczę na Twej mogile, wierząc, że się spotkamy jeszcze... bo:

„...tu na ziemi krótko nas,
Czas wszystko skończy, bo ma... czas!"

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

ZE SPRAWOZDAŃ DELEGATÓW POWIATOWYCH.

Powiat włodawski, rozciągający się od rzeki Tyśmienicy do Buga, krajobrazem przypomina bardzo Polesie. Lasy, rozległe bagna, lub łąki, jeziora, jeziorka i sztuczne stawy rybne wskazują, że tereny te winny być eldoradem dla myśliwych. I rzeczywiście, na terenach o prawidłowej gospodarce stan zwierzyny jest liczny i pełnowartościowy.

Wzorowo prowadzona jest gospodarka łowiecka u właścicieli większej własności, gospodarka jednak na terenach wiejskich pozostawia wiele do życzenia, gdyż zwierzyna jest tam wybijana bezlitośnie i bezplanowo.

Plagą dla wszystkich terenów jest kłusownictwo, a że walka z niem jest ciężka, świadczy fakt odebrania w r. 1932 na terenie powiatu 85 szt. broni i ukaranie karami administracyjnemi około 200 osób. Spodziewać się jednak można, że wspólnym wysiłkiem ogółu, prawdziwych miłośników łowiectwa, stan ten ulegnie poprawie.

Niezmiernie ważnem posunięciem dla uporządkowania gospodarki łowieckiej na tutejszym terenie było zorganizowanie przez starostę powiatowego, p. A. Sucheckiego (odznaczonego w r. b. złotym medalem zasługi łowieckiej), przy czynnym udziale pp. delegatów P. Z. S. Ł., „Powiatowego Stowarzyszenia Myśliwych", które po ukonstytuowaniu się w sierpniu b. r. rozpoczęło już swą pracę, wprawdzie jeszcze niewidoczną, bo organizującą się wewnątrz, jednak rokującą duże nadzieje. Nie bez znaczenia będzie wzmianka, że Powiatowe Stowarzyszenie Myśliwych jest organizacją ideową, które skupia wszystkich myśliwych powiatu i to bez wyjątków.

Dla ściślejszego nadzoru nad gospodarką łowiecką poszczególnych rewirów łowieckich utworzono 7 Kół Myśliwskich, które utrzymują stały kontakt z P. S. M. przez swych delegatów. Prezesem P. S. M. został wybrany senior tutejszych delegatów P. Z. S. Ł., p. Konstanty hr. Zamoyski — prezesami poszczególnych kół są wzorowi myśliwi. Powiatowe Stowarzyszenie Myśliwych będzie organizacją żywotną, rozporządzającą znacznym funduszem, a w razie likwidacji w myśl § 25 statutu majątek P. S. M. przechodzi na rzecz Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie.

Zadaniem Powiat. Stow. Myśliwych jest: 1) baczyć na etykę myśliwską członków, 2) współdziałać z władzami przy tępieniu kłusownictwa, 3) wynagradzać za prawidłową gospodarkę łowiecką, jak i za tępienie kłusownictwa, 4) popierać zawiązywanie towarzystw łowieckich. Opierając się na tej organizacji napewno będzie można uporządkować w krótkim czasie gospodarkę łowiecką i na terenach bezpańskich, jakoteż na terenach dewastowanych, a kłusownictwo skutecznie zwalczać.

W Nr. 28 z b. r. „Łowca Polskiego" zamieszczony został artykuł o gospodarce łowieckiej w dobrach włodawskich p. K. hr. Zamoyskiego, ja zaś pragnę zobrazować stan gospodarki łowieckiej na drugim, dużym terenie leśnym w tutejszym powiecie, a mianowicie w państwowem nadleśnictwie Parczew. Lasy nadleśnictwa Parczew tworzą zwarty kompleks o powierzchni 7.000 ha, poprzerzynany łąkami i bagnami o powierzchni około 1.000 ha. Poza terenem leśnym w skład nadleśnictwa wchodzi i teren gospodarki rybnej o pow. około 2.000 ha, dzierżawionej przez spadkobierców po ś. p. Witoldzie Załusce. Wymieniony obszar pod względem gospodarki łowieckiej dzieli się na: 1) teren wydzierżawiony przez Koło Miłośników Łowiectwa w Warszawie o powierzchni ponad 5.000 ha, składający się tylko z terenu leśnego i 2) teren przeznaczony na polowania dla administracji leśnej, składający się z pozostałego terenu leśnego i całego terenu gospodarstwa rybnego.

Tereny nadleśnictwa tymczasem nie są jeszcze tak zasobne w zwierzynę, jak tereny dóbr włodawskich, spodziewać się jednak można po wynikach z ostatnich dwóch lat, że teren nadleśnictwa wkrótce dorówna wzorowej gospodarce p. Konstantego hr. Zamoyskiego. Walnie w tej pracy hodowlanej pomaga nadleśnictwu Koło Miłośników Łowiectwa w Warszawie ze znanym myśliwym p. J. Skrzypkiem na czele (odznaczony w r. ub. najwyższem odznaczeniem łowieckiem „Złom", a ostatnio przez władze naczelne państwa srebrnym Krzyżem Zasługi, za działalność na polu łowiectwa).

P. prezes Skrzypek, jak i łowczy Koła, p. Kazimierz Stalewski, w szczególny sposób umieją połączyć zamiłowanie łowieckie z miłością do zwierzyny, toteż dzięki znacznym wkładom na karmę dla zwierzyny i na jej ochronę zwierzostan powiększa się znakomicie i ostatnio przedstawia się wcale dobrze, gdyż dzików według stad oblicza się na 100 szt., sarn na tę samą ilość, danieli 6 szt. (wpuszczone w r. ub. przez Koło Mił. Łow. w ilości 4 szt. — przychówek 2 szt.), lisów około 50 szt., stan zajęcy średni, borsuków około 20 szt., kuny spotyka się sporadycznie, jelenie przechodnie, a w r. ub. pojawiła się para rysi (prawdopodobnie przeszła przez Bug z Polesia), z tych jeden został zabity, drugi zaś dotychczas poluje na sarny.

Bardzo ładny jest stan cietrzewi, ponad 100 szt., jak również kuropatw, szczególnie na terenach gospodarki rybnej, ciągi słonek średnie, bażantów 5 szt., na stawach rybnych jak i jeziorach około 2.000 szt. kaczek, a pozatem inne ptactwo wodne i błotne.

Walka z kłusownictwem, które na terenie powiatu jest duże, na terenie nadleśnictwa obecnie skutecznie jest zwalczane, zato walka z wnykarstwem jest bardziej utrudniona z racji dużej ilości dróg publicznych. Zwalczanie kłusownictwa na terenie nadleśnictwa jest możliwem wskutek silnego współdziałania policji państwowej ze strażą leśną, gorzej te sprawy przedstawiają się na terenach włościańskich.

Wkońcu powiadamiam, że bardziej ścisłych danych z powiatu dać nie mogę, łatwiej będzie mi odpowiedzieć na wszelkie pytania zamieszczone w instrukcji, kiedy uzyskać będzie je można od Powiatowego Stowarzyszenia Myśliwych. Odnośnie zebrań delegatów, to jedno odbyło się w dniu 10 sierpnia b. r., na którem wybrano seniorem p. hr. Zamoyskiego.

STANISŁAW NATORSKI

Delegat P. Z. S. Ł. na pow. Włodawa

III POKAZ TROFEÓW ŁOWIECKICH.

(zet) Zarząd Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich postanowił zorganizować III pokaz trofeów łowieckich w Warszawie.

Dokładny termin pokazu ustalony zostanie nieco później, wyznaczony jest jednak na drugą połowę kwietnia 1934 r. t. j. na czas odbyć się mającego w stolicy zjazdu członków Międzynarodowej Rady Łowieckiej (Conseil International de la Chasse).

Program III pokazu trofeów łowieckich w związku z powyższym zjazdem został tak nakreślony, ażeby możliwie najdokładniej mógł przedstawić zagranicznym gościom całe bogactwo naszego kraju w dziedzinie łowiectwa.

Na pokaz ten przyjmowane będą eksponaty tylko wiadomego pochodzenia z łowisk, znajdujących się wyłącznie w obecnych granicach Rzeczypospolitej.

Eksponaty podzielone będą na dwie zasadnicze grupy:

grupa obejmie wszelkie trofea, zdobyte od czasu II pokazu trofeów łowieckich w Warszawie, t. j. od 1 listopada 1932 r. do 31 marca 1934 r.;

II grupę stanowić mają wszelkie trofea, zdobyte przez myśliwych na obszarze ziem dzisiejszej Rzeczypospolitej, bez względu na rok pochodzenia, ograniczając się jednak do trofeów, dotąd nigdzie niewystawianych, oraz do wystawianych i nagrodzonych nie niżej, niż medalami złotemi i srebrnemi, bez względu na to gdzie były wystawiane.

Eksponaty będą premjowane indywidualnie wśród grup trofeów z poszczególnych województw, ewentualnie rejonów (kilku województw łącznie) z uwagi na różnice co do jakości w związku z odmiennemi warunkami terytorjalnemi ich pochodzenia, wpływającemi na cechy, jak np. w wieńcach jeleni i porożu sarn i t. p.

Poza korzyściami dydaktycznemi, jakie ze sposobu grupowania i premjowania trofeów wyłonią się dla krajowych myśliwych-hodowców, system ten pozwoli zwiedzającym na zorjentowanie się, w jakich częściach kraju spotyka się dane gatunki zwierza, a także w różnicach jego regjonalnej jakości.

Premjowanie podzielone zostanie na pięć działów według następującej metody:

1 dział obejmie hodowców, którzy ponieśli najwięcej zasług w gospodarce łowieckiej;

2 dział — nagrody indywidualne w grupach poszczególnych województw, (względnie rejonów) dla tych eksponatów, jakie zostały zdobyte w ostatnim okresie czasu (wymienionym w grupie I);

3 dział — nagrody wśród grupy niewystawianych i nienagrodzonych nigdzie dotychczas trofeów;

4 dział odnosić się będzie do ustalenia jakościowych rekordów wojewódzkich (względnie rejonowych), a na tej podstawie do określenia rekordów ogólnopolskich z obu grup;

5 dział wyróżni najciekawsze z pośród wszelkich wybryków natury, jak deformacje łopat, szufli, wieńców, i poroży, a wśród ptactwa albinizm i odrębne ubarwienie pewnych gatunków.

Nagrodzone będą następujące trofea: wszelkie rogi cerwidów, szable dzicze, wypchane łby, lub całe sztuki tych gatunków, skóry zwierząt drapieżnych, kolekcje wypchanych ptaków łownych, wybryki natury wśród zwierzyny łownej; pozatem wykresy i wykazy, obrazujące całokształt gospodarki łowieckiej poszczególnych łowisk, oraz pracę różnych sekcyj ochrony poszczególnych gatunków zwierzyny.

Należy się spodziewać, że tak zorganizowany III pokaz trofeów łowieckich, zawierając w swym programie szereg pożądanych inowacyj, zadowoli całkowicie wymagania wystawców — zwłaszcza wobec możności zaprezentowania polskiego dorobku w tej dziedzinie przedstawicielom kilkudziesięciu narodów świata — i że wszyscy bez wyjątku posiadacze cenniejszych zdobyczy łowieckich wezmą gremjalny udział w ich wystawieniu.

Deklaracje do zgłaszania eksponatów na III pokaz trofeów łowieckich będą do rozporządzenia w sekretarjacie Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich w Warszawie (Nowy Świat 35) a także zostaną rozesłane do Oddziałów Wojewódzkich P. Z. S. Ł., oraz do większych składów broni w Toruniu, Poznaniu, Katowicach, Krakowie, Lwowie, Wilnie i Warszawie.

KŁUSOWNICTWO.

(—jb.—). We wrześniu r. b sąd okręgowy w Grudziądzu skazał kłusownika i złodzieja leśnego, Karola Dąbrowskiego, za napad na strażnika łowieckiego, którego ranił ciężko nożem w szyję, na 6 lat więzienia.

Oskarżony odwołał się do sądu apelacyjnego, który karę złagodził do 4 lat więzienia, w motywach jednak zaznaczając, że przestępstwa przeciwko służbie leśnej i łowieckiej w ostatnich czasach zdarzają się zbyt często i dlatego surowy wymiar kar jest konieczny.

(—jb.—). W lesie pod Pawłowicami leśniczy Juljan Lacheta postrzelił kłusownika, który pomimo tego zdołał jednak zbiedz. Dopiero po kilku dniach doszło do wiadomości policji, że raniony kłusownik udał się do lekarza w Strumieniu na operację wyjęcia śrutu z nogi.

Aresztowany kłusownik podał się za Leona Dzierdzieja, a skonfrontowany z leśniczym — przyznał się do uprawiana kłusownictwa.

Aresztowanego Dzierdzieja oddano do dyspozycji władz sądowych.

WŁAŚCICIELE ŁOWISK! UBEZPIECZAJCIE SWOJĄ STRAŻ ŁOWIECKĄ NA WYPADEK ŚMIERCI LUB KALECTWA W WALCE Z KŁUSOWNICTWEM — JEST TO WASZYM KARDYNALNYM OBOWIĄZKIEM.

(—jb.—). Przed trzema tygodniami w Wołszowinie (pow. Sokal) funkcjonarjusze policji państwowej, po przeprowadzeniu rewizji, aresztowali braci — kłusowników, Hrycia i Mikołaja Hnatów, których zamierzali odprowadzić do posterunku. W drodze jednak Hnatowie zdołali się rozkuć i usiłowali zbiedz. Podczas pościgu, po strzałach ostrzegawczych, trafiono Mikołaja Hnata, który upadł. Na widok rannego brata, drugi kłusownik zaniechał dalszej ucieczki.

Rannego odstawiono do szpitala w Sokalu, brata zaś jego — do aresztu śledczego.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW.

Stefan Badeni: „Szczęśliwe dni", urywki z pamiętnika myśliwskiego z 72-ma zdjęciami z natury, Kraków 1930 r., str. 160. Cena pierwotna zł. 40, obecnie zniżona przez autora do zł. 18.

Trzy lata temu ukazała się ta piękna książka na półkach księgarskich. Pisał o niej na łamach „Łowca Polskiego" ś. p. Juljan Ejsmond, którego recenzja kończyła się temi słowami: „Szczęśliwe dni" Badeniego są również szczęśliwemi dniami czytelników tej ślicznej książki".

Rekomendacja to dostateczna, zwłaszcza, że tak istotnie prawdziwa. Obecnie, gdy po trzech latach od czasu wydania „Szczęśliwych dni" rozpowszechnienie ich z powodu zniżenia z woli autora ceny staje się bliższe w swej możliwości materjalnej dla szerszych kół myśliwych, pragnę dorzucić parę słów od siebie, przypominając tej nieprzeciętnej książki zalety.

Nastrój, jaki wzbudza u czytelnika Badeni, opisując myśliwską „powszedniość treści", jak sam wyraża się we wstępie, nastrój zbliżony niezmiernie do wywołanego przez wspomnienie własne każdego myśliwego, stanowi o istotnej cenie tej książki.

Forma językowa opowiadań nieskrępowana sztucznością stylu, a pełna plastycznych porównań, z całą łatwością naracyjną rzuconych na papier, jako szereg żywych, najbardziej dokładnych obrazów, wrażeń i emocyj, posiada jędrność i koloryt, umiejętnie wydobyty z ojczystej mowy.

Najznamienniejszą jednak cechą tej miłej książki jest słoneczność i radość życia łowieckiego, tkwiące głęboko w duszy jej autora. Czar i urok uśmiechniętej kniei, błot i stawów, darzących łowcę największą z rozkoszy, wszystkim pokrewnym duchom zrozumiałą, spływają ku nam z każdej karty.

Dzik, ptactwo wodne i błotne obok słonki to treść zasadnicza wyczarowanych w zachwyceniu nad pięknem przyrody wspomnień. Czytając je, poluje się razem z autorem w towarzystwie pracowitych piesków-dzikarzy, doznając żywo niespodzianek, gotowanych na każdym kroku przez czarnego zwierza. To znów brnie się po rozległych błotach za chytrym lotem drobnych kszyków, podniecających trudnością strzałów wielkim trudem okupywane usiłowania. To wreszcie stoi się na słonecznych ciągach lub nagankach, owitym w poezję, jaką ten tajemniczy ptak za swem ukazaniem się nad głową myśliwca na skrzydłach motylich ku nam przynosi.

Nad tem wszystkiem włada niezmierna miłość autora do przyrody i z niej czerpana sprawiedliwa sympatja i wyrozumiałość dla wszystkich jej tworów, prócz radości łowieckiej, tyle stwarzających zawodów i niepowodzeń.

„Szczęśliwe dni" to opowiadania, pisane serdecznem krwi tętnem wielkiej duszy myśliwskiej, świadomej poezji, płynącej doń o każdej porze roku z myśliwskiego otoczenia; to hołd dla potężnej skali wrażeń z myślistwa zrozumiale a subtelnie dobytych; to tęsknota do coraz nowych, podobnych, a nieznanych, biorących wrażliwą duszę prawdziwego łowcy w przemożne, odwieczne władanie.

„Szczęśliwe dni" to bratnia księga uczuć, malująca kwiecisty kobierzec łowieckich darów ziemi.

WUZET.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— 18 listopada w maj. Zaskrodzie (wł. p. Marjana Lasockiego) w 8 strzelb zabito 176 zajęcy i 27 kuropatw (na kuropatwy polowano za specjalnem zezwoleniem p. wojewody).

W leśnych miotach widziano dużo sarn.

— 2 grudnia w maj. Korzeniste (wł. spółki „Korzeniste") w 8 strzelb zabito 76 zajęcy i 1 lisa, przyczem rezultat ten mógłby być dwa razy większy, gdyby nie to, że, opierając się na doświadczeniu zeszłego roku, kiedy padło na tym samym terenie „aż" 8 sztuk, — wzięto zbyt mało naganki. Wskutek tego więcej, niż drugie tyle, zajęcy — wyszło wcale nie strzelanych.

Nadmienić tu trzeba, że tak znaczny przyrost zajęcy w ciągu roku w maj. Korzeniste (powierzchnia 900 ha) zawdzięczać należy energicznemu prześladowaniu kłusowników i wnykarzy, oraz strzelaniu wałęsających się psów i kotów.

— W dniu 27-go listopada r. b. odbyło się w maj. Lasocinie

(powiat włoszczowski), własn. p. Edwarda Niemojewskiego, polowanie w dwanaście strzelb.

Przy niepogodzie ubito: 440 zajęcy, 45 królików, 14 kuropatw, 3 bażanty, 3 cietrzewie i 1 lisa.

Najwięcej zabił p. Konrad Niemojewski (82 sztuki) i p. Tadeusz Siemieński — 74 sztuki.

— W dniach 27 i 28 listopada r. b. odbyło się polowanie w lasach dóbr Wielkie Solesczniki, p. Karola Wagnera (pow. wileńsko trocki).

W polowaniu wzięli udział pp.: — Marja Miedzianowska, Anna Pereświet-Sołtanowa, Eugenjuszowa hr. Tyszkiewiczowa, Andrzejowa Węcławowiczowa, Zofja Węcławowiczówna, Karol Erdman, Ryszard Konarzewski, Stanisław Mianowski, Jan hr. Plater, Aleksander Pereświet-Sołtan, Bolesław Świętorzecki, Eugenjusz hr. Tyszkiewicz, Jan hr. Tyszkiewicz, Karol Wagner, Henryk Wańkowicz, Stanisław Wańkowicz, Andrzej Węcławowicz, Feliks Zawadzki, Marjan Hubert Obniski.

Rezultat polowania, jak na kresowe stosunki, bardzo dobry: 2 lisy, 1 jarząbek i 120 zajęcy. Pogoda nie dopisała; zające twardo dosiadywały i szły na nagankę. Dzięki staraniom i opiece gospodarza — stan zwierzyny jest doskonały. W miotach widziało się dużo sarn. Wilki — z powodu braku śniegu nie otropione — wyszły z miotów bez strzału.

Najwięcej na rozkładzie miał p. Bolesław Świętorzecki — (13 zajęcy). — drugie miejsce zajęła p. Marja Miedzianowska (11 zajęcy).

SŁOWNIK BIOGRAFICZNY.

(zet). Jesteśmy proszeni o powiadomienie naszych czytelników, że Polska Akademja Umiejętności podjęła pracę nad wydaniem „Polskiego Słownika Biograficznego".

Wydawnictwo to zawierać będzie zwięzłe artykuły informacyjne bez tendencji politycznej ani moralizatorskiej, uwzględniając wszystkie czasy, dzielnice i dziedziny i podając życiorysy osób, które odegrały rolę w życiu politycznem, społecznem i kulturalnem narodu polskiego.

Polski Słownik Biograficzny wychodzić będzie w tomach po 640 str. druku dwuszpaltowego borgisem. Każdy tom stanowić będzie możliwie zamkniętą całość alfabetyczną od A do Z i opatrzony będzie dodatkiem do wszystkich wydanych tomów.

Ze względu na pierwszorzędną doniosłość narodowo-kulturalną tego wydawnictwa zainteresować ono powinno szerokie koła publiczności.

Redakcja Słownika mieści się w Krakowie, ul. Sławkowska 17, w Warszawie reprezentuje redakcję p. Adam Lewak.

NAJLEPSZA GWIAZDKA.

Do licznych kłopotów, których nam nie szczędzą czasy dzisiejsze, w czasie Bożego Narodzenia przybywa jeszcze jeden i to wcale nie najmniejszy: co i jak ofiarować na gwiazdkę swoim najbliższym, lub tym, czyje względy chciałoby się pozyskać.

Jeżeli kto — jak to mówią — chce się wykręcić sianem, to rozwiązanie zadania ma bardzo łatwe: ofiaruje perfumy, kwiaty lub cukierki, a uczyni zadość tradycji i pozbędzie się trosk. Wprawdzie obdarowany, albo częściej obdarowana nie wie co z tym fantem zrobić, zwłaszcza, gdy większa liczba przyjaciół uraczy ją w ten sposób, ale przyznać trzeba, że wykombinowanie takiego upominku nie wymaga wielkiego wysiłku myślowego.

Czy jednak w tak ciężkich czasach nie należałoby się zastanowić, ażeby pogodzić ultime dulci — piękne z pożytecznem i składać swój dowód pamięci w sposób, który osobie obdarowanej nietylko sprawi przyjemność, ale przynieść jej może prawdziwą korzyść, a nawet w pewnych warunkach — szczęście?

Nie każdemu można ofiarować coś z garderoby, nie każdego też stać na to, by występować z takiemi prezentami, jak samochód, biżuterja i t. d. Ale, jakkolwiek się u nas nie przelewa, jest jeszcze wielu takich, którzy mogą sobie pozwolić na kupno losu loteryjnego, lub choćby jego ćwiartki i na ofiarowanie go osobie wybranej.

Kto wie, może w tym właśnie losie tkwi ten „łut szczęścia" tak niezbędny do zrobienia fortuny? Któż zaręczyć może, iż nie na ten akurat los padnie wygrana główna? A przecież zbliża się IV-ta klasa Loterji, więc gra idzie już o miljony. Jakżeż wdzięczna będzie nam osoba, której ten los ofiarowaliśmy.

Niech więc każdy, kto zamierza nabyć podarek świąteczny, pamięta:

Najlepszą „gwiazdką" jest los Loterji Państwowej.

Redaktor odpowiedzialny: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7.50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie 2.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. **Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzezone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.**

KONTO P. K. O. Nr. 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Wareckn 15